POLACY W CAŁYM ŚWIECIE

CENA 1 ZŁ
ZESZYT 1 1933 r.

CZASOPISMO ILUSTR. POŚWIĘCONE EMIGRACJI POLSKIEJ



Indjanie z nad Amazonki, najbardziej tajemniczej rzeki na ziemi

Po obydwuch jej stronach rozciąga się „terra ignoto" – jak mówią Portugalczycy – ziemia nieznana, prawdziwe indyjskie Eldorado w Południowej Ameryce

Do Braci-Polaków w całym świecie!

Niema dotychczas pisma w Polsce o zasięgu światowym, któreby skupiało wszystkie myśli i serca polskie w jedno kolisko. Co wie np. Polak w kraju macierzystym o Polonji zagranicą? Albo nic, albo bardzo mało. Co wiemy o krajach, ludach i tych warunkach bytu, wśród jakich żyje nasz rodak na obczyźnie? Prawie nic! To samo dotyczy Polaków zagranicą. Jedni o drugich wiedzą bardzo mało. Luka istnieje i to bardzo duża.

Mają ją wypełnić „Polacy w całym świecie", dwutygodnik ilustrowany — czasopismo poświęcone wszystkim Polakom, tym w kraju i tamtym zagranicą, — którego pierwszy numer w Imię Boże dziś wypuszczamy.

Oczekują już na ten numer tysiące. Zanim wyszedł, poprzedziły go z naszej strony wielkie usiłowania. Aby po wypuszczeniu go nie usiąść na nim, ale by go rozpowszechniać wzdłuż i wszerz, poprzez morza i góry, by rozszedł się po całej Polsce i dotarł wszędzie wśród Polaków zagranicą, z mozołem ale np. tylko w Ameryce Północnej zdobyliśmy około 5 tysięcy adresów tamtejszych Polaków, do których „Polacy w całym świecie" dotrą i staną się bodźcem do nawiązania ścisłego kontaktu między nimi a nami, do współpracy dla wielkiej idei — wymiany myśli i łączności duchowej wszystkich Polaków w całym świecie.

Świat cały przeżywa dziś straszny kryzys gospodarczy i moralny, jako skutek pierwszego. Jak w tych zmieniających się z dnia na dzień warunkach bytuje nasza Polonja zagraniczna, zainteresuje to każde skupienie emigracyjne, czy to we Francji, czy w Czechosłowacji, czy Brazylji, a przedewszystkiem nas, Polaków w kraju macierzystym.

Nie licząc na subwencje lub inne pomoce, licząc tylko na własne siły i wytrwałość w realizowaniu swoich zamierzeń, wypuszczamy w świat ten pierwszy numer ufni w zwycięstwo idei, która nam przyświeca. Mamy powody wierzyć, że „Polacy w całym świecie" nietylko będą tętnić życiem, ale staną się wydawnictwem najpożyteczniejszem.

Gdy do Morawskiej Ostrawy dotarła wieść o „Polakach w całym świecie", Konsulat Rzeczypospolitej Polskiej nadesłał nam pismo z dnia 5-go września r. b., w którem czytamy:



Konsul Rzeczypospolitej Polskiej Dr. Karol Ripa,
który w ciągu swego 8-letniego pobytu w Morawskiej Ostrawie zyskał sobie gorące sympatje ludności polskiej Moraw i Śląska, którą otacza iście ojcowską opieką.

„Myśl wydawania czasopisma przynoszącego materjał z życia Polaków na świecie, uważa Konsulat za bardzo szczęśliwą i pożyteczną. Polacy za granicami wytworzyli sobie w wielu miejscach godne podziwienia warsztaty pracy, powołali do życia pożyteczne organizacje, towarzystwa i instytucje. Obowiązkiem każdego Polaka jest zaznajomić się z temi zdobyczami i uczyć się na ich przykładzie. Jeżeli czasopismo „Polacy w całym świecie" ułatwi im to zadanie, spełni wielką rzecz."

Mamy więc do spełnienia przed sobą, używając słów Konsulatu Rzeczypospolitej Polskiej w Morawskiej Ostrawie, rzecz wielką, mamy zaznajomić się wzajemnie z temi zdobyczami, jakie stały się udziałem poszczególnych polskich ośrodków emigracyjnych i Polonji zagranicznej, mamy informować o tych godnych podziwienia warsztatach pracy, o tych pożytecznych organizacjach, towarzystwach i instytucjach, jakie powstały mózgiem, zapobiegliwością, ręką i wysiłkiem Polaka zagranicą. Mamy informować o tych środowiskach, wśród których żyje nasza Polonja zagraniczna lub grupy Polaków na obczyźnie.

Do pierwszego numeru wykorzystaliśmy te materjały, jakie na nasz apel w listach skierowanych do jednostek nam nadeszły. Uważamy, że samo życie, przyszłość pokaże, w jakim kierunku mają iść „Polacy w całym świecie", jaką posiadać szatę redakcyjną, bo zewnętrzna szata zmianie nie ulegnie.

Gdy około 5.000 egz. „Polaków w całym świecie" dotrze do rodaków naszych w Ameryce

Północnej, do każdej parafji na wielkiej przestrzeni Stanów Zjednoczonych, prosimy o oddawanie sobie pisma z rąk do rąk i o wiadomość, kto sobie życzy w dalszym ciągu otrzymywać czasopismo w formie stałej prenumeraty kwartalnej lub rocznej. Prosimy równocześnie o nadsyłanie nam fotografij i zdjęć do naszego wydawnictwa z odpowiedniemi opisami. Reflektujemy również na opisy wraz z fotografjami z własnego życia, naprzykład:

1. *wspomnienia z kraju macierzystego własne lub pośrednio przejęte po rodzicach,*
2. *wyjazd do Ameryki, Francji lub Afryki i t. d.,*
3. *pobyt na obczyźnie ze szczegółami ze swego życia.*

Opisy te wraz z ilustracjami będziemy zamieszczać w tej kolejności, w jakiej będą napływać.

W czyje ręce dostaną się „Polacy w całym świecie“, niechaj wyszuka w swem otoczeniu lub pamięci choć 10 nazwisk swoich przyjaciół, krewnych i znajomych i z dokładnemi adresami je nam nadeśle. Również prosimy o wiadomość, ktoby w poszczególnych parafjach ofiarował się za pewną prowizją rozpowszechniać „Polaków w całym świecie“.

Rodaków w kraju prosimy o nadsyłanie nam adresów swych krewnych, przyjaciół i znajomych, którzy przebywają zagranicą, a tych, którzy byli np. w Ameryce, w Brazylji lub wogóle poza granicami kraju, prosimy o nadsyłanie nam swoich wspomnień i przeżyć oczywiście wraz z fotografjami.

Tylko w ten sposób może powstać duchowa łączność między nami i Wami, między Polakami w kraju macierzystym i zagranicą. Tym sposobem wspólnemi siłami i wspólnym wysiłkiem ułatwicie nam spełnienie wielkiej rzeczy, jak mówi Konsul Rzeczypospolitej Polskiej w Morawskiej Ostrawie.

Wydawnictwo
„Polacy w całym świecie“

Piękno stolic europejskich. Zamek Vajdahunvad w Budapeszcie. Szczególnie wspaniale wygląda od strony Dunaju. Naród węgierski dążył wytrwale do tego, aby ze swej stolicy uczynić jedno z najpiękniejszych i najozdobniejszych miast Europy. Najwspanialszym pomnikiem architektury z pomiędzy mnóstwa innych gmachów jest ten zamek

ŻYWIOŁ POLSKI NA MORAWACH

Kilkadziesiąt lat — bo już przeszło pół wieku — minęło od czasu, kiedy pierwsi emigranci z Małopolski zachodniej przybyli w pogoni za chlebem, którego w domu skąpo mieli, tutaj na Morawy, a przedewszystkiem do Morawskiej Ostrawy i okolicy, dziś do t. zw. Wielkiej Ostrawy. W owych czasach rosły tutaj, jak grzyby po deszczu, kopalnie węgla, a rąk do pracy chętnych mało było na miejscu, to też wędrówka po pracę na Ostrawsko trwała długie lata, bo aż do wojny światowej. Garnęli się tutaj do pracy nasi wieśniacy, by w trudzie i w krwawym znoju zdobywać zarobek, który następnie odsyłali rodzinom do Małopolski. Niejeden mórg pola, niejedna chałupa w Małopolsce stała się własnością rodziny, która tutaj wydzierała czarny węgiel matce - ziemi, ale *robotnik polski za zarobek przyczyniał się do rozbudowania przemysłu Zagłębia Ostrawskiego, które polskiemu robotnikowi w pierwszej linji zawdzięcza swój późniejszy rozkwit.*

Z chwilą przewrotu, gdy między Morawami a Małopolską przeprowadzono granicę odbudowanych państw słowiańskich, polskiego i czeskiego, skończył się napływ polskiego robotnika — i nietylko to, bo rozpoczęła się reemigracja, która raz z większem to z mniejszem nasileniem trwa do tej chwili. W ostatnich latach kryzysu gospodarczego ta reemigracja wzmogła się bardzo wskutek bezrobocia, *gdy tutejsi kapitaliści, zapomniawszy o tem, że polski robotnik ich wzbogacił, jego właśnie stawiali i stawiają na pierwszy ogień, gdy idzie o wydalenie z pracy. Biały murzyn swoje zrobił i może odejść, chce czy nie chce.* Przeważna część polskiej emigracji na Morawach to górnicy i robotnicy kopalniani, znaczna część to robotnicy fabryczni i hutnicy. Pewna niewielka cząstka trudni się rzemiosłem, a tylko tu i ówdzie jednostki pracują w zawodach umysłowych.

Zrozumiałą jest rzeczą, że do ciężkiej pracy w kopalniach napływali przeważnie ludzie mało uświadomieni, przeważnie analfabeci, to też żywioł ten stosunkowo bardzo łatwo ulegał wynaradawianiu wówczas, gdy był zdany sam na siebie w początkach emigracji. Lat temu około czterdzieści, gdy inteligentniejsze jednostki postanowiły bronić polskiego stanu posiadania, rozpoczynając pracę społeczną, narodowo-uświadamiającą przez zakładanie czytelń, bibljotek, a później towarzystw oświatowych, które zgrupowały się w wystawionym przed 35 laty Domu Polskim w Morawskiej Ostrawie. Krakowskie Towarzystwo Szkoły Ludowej otoczyło wówczas opieką tę bezdomną ludność polską, zakładając swoje Koła w *Morawskiej Ostrawie* potem *Marjańskich Górach, Przywozie i Witkowicach* (dziś te miejscowości należą do Wielkiej Ostrawy). Koła te zaczęły intensywnie pracować, uświadamiać polskich robotników i krzepić ich, by nie dali się wynarodowić, a były dziesiątki tysięcy tej polskiej braci



Marjan Pawełek
Prezes Związku Polaków na Morawach

górniczej, dziesiątki tysięcy, które kopały w podziemiach ostrawskich węgiel, wzbogacając w ten sposób tutejsze okolice.

W ślad za towarzystwami oświatowemi poszły i pierwsze szkoły w Ostrawskiem Zagłębiu, które zbudowano w pierwszych latach XX stulecia, najpierw w Morawskiej Ostrawie, potem w Przywozie, Marjańskich Górach i Witkowicach. Dzięki usilnej pracy świadomych nauczycieli, szkoły te rozwijały się doskonale, zdobywały coraz liczniejsze rzesze polskiej dziatwy, której ilość dochodziła do 2000 dzieci polskich. *Szkoły te były przedmurzem polskości a polski nauczyciel i polski robotnik ręka w rękę pomagali Tow. Szkoły Ludowej*, które całą swoją energję ówczesną włożyło w pracę, by zdobyć fundusze potrzebne na utrzymanie tych szkół. Z chwilą powstania Kół i szkół Tow. Szkoły Ludowej wynarodowienie znacznie zmalało, bo pracę prowadzono sumiennie, z zapałem i energją.

Znaczniejsze wzmożenie życia polskiego zanotowano podczas wojny w pierwszych miesiącach, gdy cała masa uchodźców z Małopolski znalazła się w Morawskiej Ostrawie, lecz fala ta przeszła wkrótce. Po skończeniu wojny, a zwłaszcza po przewrocie, rozpoczęła się już reemigracja, która trwa dotychczas, *uszczuplając coraz więcej szeregi polskiej kolonji na Morawach.* Z chwilą przewrotu rozwiązały władze czechosłowackie Koła Towarzystwa Szkoły Ludowej jako towarzystwa zagranicznego, lecz ludność poradziła sobie w ten sposób, że powołała do życia nowe towarzystwo, któremu dała nazwę „*Polski Związek Szkolny*“ z siedzibą Naczelnego Zarządu w Morawskiej



Dom Polski w Morawskiej Ostrawie

Ostrawie. Otwarto natomiast Koła w Mor. Ostrawie, Marj. Górach, Przywozie i Witkowicach a później w Zabrzegu. Koła te rozpoczęły działalność, kontynuując dalej pracę w duchu dawniejszego Tow. Szkoły Ludowej.

Poniższe zestawienie cyfrowe z działalności Polskiego Zw. Szkolnego za r. 1932, a więc trzynasty rok pracy, niech da obraz wysiłków podjętych w ciągu ostatniego roku. Rezultaty przedstawiają się następująco: Ilość członków Towarzystwa 876, urządzonych zgromadzeń 10, odbytych posiedzeń zarządów i sekcyj 114, urządzonych obchodów narodowych 16, przedstawień amatorskich 17, uczestników tych imprez 17000, tomów w bibljotece 1 544, czytelników 116, przeczytanych książek 3 520, zorganizowanej młodzieży pozaszkolnej 420, szkół i ochronek 6, dziatwy w szkołach i ochronkach 338, książek w bibljotece uczniów i nauczycieli 3 603, czytających dzieci 191, przeczytanych dziełek 5 306, przedstawień szkolnych 14, odczytów i bajek dla dzieci 14, środków pomocniczych do nauki 3 045, wydanych porcyj mleka z akcji dożywiającej 8 655, podarków rozdanych na gwiazdkę 1 012, koszt urządzeń gwiazdki wynosił Kč 12 659.

Ilość uczęszczających dzieci 77, zaoszczędzonych pieniędzy w roku 1932 w Kč 33 756, dzieci obdarowanych na Mikołaja 64, dzieci wysłane na kolonje wakacyjne 89, dni spędzonych na kolonjach wakacyjnych 3 525. Koszt urządzenia kolonij wakacyjnych Kč 18 000. Suma wypłaconych stypendjów i subwencyj Kč 54 879. Ogólny obrót kasowy wynosił w Kč 325 000.

Rezultaty może niezbyt pokaźne, ale pamiętać należy, że Polski Związek Szkolny musi ograniczać swą działalność tylko do Morawskiej Ostrawy i najbliższej okolicy, gdyż poza nią niema prawie wcale większych skupień polskich, któreby umożliwiały zorganizowanie Kół Polskiego Związku Szkolnego.

Prezydjum Zarządu Naczelnego P. Z. S. w roku 1933: *Marjan Pawełek*, prezes; *Józef Kupiec*, I. wiceprezes; *Juljan Hipp*, II. wiceprezes; *Edward Niebrój*, I. sekretarz; *Karol Siwek*, II. sekretarz; *Marja Heinrichowa*, I. skarbnik; *Władysław Sedlaczek*, II. skarbnik.

Przewodniczącymi Kół miejscowych P. Z. S. w roku 1933 są: Marjan Pawełek w Moraw. Ostrawie, Juljan Hipp w Marj. Górach, Józef Kupiec w Przywozie, Adam Badura w Witkowicach, Władysław Sedlaczek w Zabrzegu.

Kierownikami szkół są: Marjan Pawełek, dyrektorem szkoły wydziałowej i ludowej w Morawskiej Ostrawie, Karol Siwek, kierownikiem szkoły ludowej w Marjańskich Górach, Józef Kupiec, kierownikiem szkoły ludowej w Przywozie, Władysław Sedlaczek, kierownikiem szkoły ludowej w Witkowicach.

Z innych organizacyj oświatowych, społecznych, i gospodarczych, które obok Polskiego Związku Szkolnego na Morawach pracują, wymienić należy: *Stowarzyszenie Domu Polskiego* (Członkowie Dyrekcji: Poseł Emanuel Chobot, przewodniczący, Marjan Pawełek, sekretarz, Rudolf Knab, skarbnik), Kasa Zaliczkowa: (dyrektorowie Józef Wilczyński i Rudolf Knab), *Kółko Ostrawskie Towarzystwa Nauczycieli Polskich* (przewodniczący Marjan Pawełek), *Polski Klub Sportowy „Legja“ w Moraw. Ostrawie* (prezes Marjan Pawełek), *Hufiec harcerski męski* (hufcowy Bolesław Lechowicz), *Hufiec harcerski żeński* (hufcowa Anna Lechowiczowa).

Celem skoordynowania wysiłków tych wszystkich polskich stowarzyszeń i ujednostajnienia kierunku tej pracy, powołały te stowarzyszenia do życia związek stowarzyszeń pod nazwą *Związek Polaków na Morawach*, który obejmuje 16 polskich stowarzyszeń, w czem także cztery organizacje studentów wyższych szkół z Brna i Cieszyna.

Prezydjum Zarządu Głównego Związku Polaków na Morawach tworzą: *Marjan Pawełek*, prezes, *Poseł Emanuel Chobot*, I. wiceprezes, *Wiesław Wiszniewski*, II. wiceprezes, *Karol Siwek*, I. sekretarz, *Władysław Sedlaczek*, II. sekretarz, *Rudolf Knab*, I. skarbnik, *Józef Kupiec*, II. skarbnik.

Praca w Związku Polaków idzie raźnem a przedewszystkim zgodnem tempem. W ten sposób prowadzoną pracę polskich stowarzyszeń, zmierzającą do ugruntowania polskości na Morawach, popiera bardzo gorliwie, energicznie i wydatnie Konsul Rzplitej Polskiej w M. Ostrawie p. Dr. *Karol Ripa* i dzięki jego pomocy i poparciu może być na szerszą prowadzona skalę ku ogólnemu pożytkowi *Sprawy Polskiej* na Morawach.

A chociaż topnieją szeregi polskie na Morawach z roku na rok, to ubytek ten jest nieszkodliwy, mając na uwadze interesy ogólno-narodowe, bo z tutejszych szeregów polskich ubywają tylko ci, którzy wracają do Polski, a ci nie są straceni. Reszta zaś, która utrzymuje się tutaj dalej, jest *dzięki pracy polskich organizacyj* tak uświadomiona narodowo, że nic jej już przerobić nie zdoła i nikt nie wydrze jej ducha narodowego.

M. PAWEŁEK

Tajemniczy uśmiech kobiety...

Uczeni oddawna biedzą się nad rozwiązaniem tajemniczego uśmiechu w kącikach ust kobiecych w sławnym obrazie Leonarda Mona Lizy... To jest coś nadzwyczajnego, że uśmiech kobiety zawiera w sobie tyle niezbadanej tajemniczości, coś tyle uwodzącego... I dlatego wzbudza tak duże zainteresowanie.

Już w starożytności zastanawiano się nad tajemniczym uśmiechem kobiety i wtedy już mówiono, że uśmiech kobiety jest równocześnie potwierdzeniem i zaprzeczeniem, on wszystko mówi i jednocześnie wszystkiemu przeczy, jest pytaniem i równocześnie odpowiedzią, mówi wszystko i wszystko przemilcza.

Ktośby mógł przypuszczać, że ogłada, wykształcenie i staranne wychowanie dają właśnie różne odcienie uśmiechowi kobiety, że wykształcenie i wychowanie mają wpływ na grę tych uśmiechów, że uśmiech kobiety jest odzwierciadleniem jej duchowych nastrojów w każdej sekundzie. Zupełnie tak nie jest. Uśmiech kobiety został z nią razem stworzony jako jej najpotężniejsza siła, jako jej władztwo, czego nie daje jej ani wykształcenie, ani wychowanie. Ona tym uśmiechem okazuje swe szczęście i nieszczęście... Uśmiech kobiety to jakby zjawisko natury, jak podmuch wiatru w dniu skwarnym, jak oblicze gwiazdki na bezchmurnem niebie... Również kobieta, której życie płynie zdala od kultury i cywilizacji — oczywiście w naszem pojęciu — posiada równie zagadkowy uśmiech na swoich ustach. Proszę rzucić okiem na te dwie arabskie dziewczęta o tajemniczym uśmiechu... One obydwie reprezentują taką kobiecość, jaką je obdarzyła natura — prostą, bez domieszek i przypraw „kulturalnych" — one reprezentują kobiecość jeszcze przysłoniętą mgłą odwiecznych czasów. Jedna jest córką fellacha (rolnika) z Syrji, druga jest córką szeika (wodza koczowniczego plemienia arabskiego) z nad brzegów Morza Czerwonego. One nie uczęszczały do szkół, jak dziewczęta wielkich miast europejskich, nie wiedzą, co to jest zebranie towarzyskie, nawet z nazwy nie znają flirtu ani kokieterji, ale my, europejczycy, w ich oczach spostrzegamy kokieterję... Bezwiedną kokieterję kobiecą, która chce być piękną i pożądliwą,... bo taką ona być musi.



Któż prędko, w kilku słowach, potrafi określić i wyjaśnić uśmiech tych dwuch dziewcząt!?!

Dwa rzędy olśniewająco białych zębów jak sznur pereł błyszczą u nich na tle purpurowo-czerwonych warg... Ale jakież różne w wyrazie!?!

Dziewczę fellacha śmieje się szelmowsko, lubuzersko, zachwycająco, ale nie zaczepnie... Dla mężczyzny ten uśmiech ani nie odmawia, ani nie zachęca... On tylko zachwyca go, ale równocześnie i onieśmiela...

Natomiast na twarzy córki szeika uśmiech jest otwarty, nieskrępowany, wyraźny i bez zasłony. Mała bronzowa kobieta jest przeświadczona, że sznury muszelek na jej wysmukłej szyi, że złoty pierścionek, łańcuszek i amulecik na piersiach i kolczyki czynią ją

piękną... Ona wie to wszystko, a jej uśmiech mówi: Ja należę do życia... Kto ten kwiat zerwie, do niego on będzie należał...

Dwie dziewczyny śmieją się... Dwoje dzieci na łonie wiecznej boskiej natury, wolne od wszelkich naleciałości „kultury"... W ich uśmiechach mieszczą się słowa, powab, namiętność i szyderstwo... Któż pojmie tajemniczość tej mowy?



Z DANJI I AUSTRJI

PAMIĄTKI POLSKIE W DANJI

Naród duński jest tym pośród trzech bratnich narodów skandynawskich, który przechowuje o Polsce może najwięcej wspomnień z przeszłości, a nawet zachował po dziś dzień nieco żywych pamiątek z owych czasów, kiedy wspólne losy łączyły raz po raz dzieje Polski z dziejami Danji.

Dobrze więc dziś, gdy odrodzona Polska stała się na nowo przez Bałtyk sąsiadem Danji ... Pierwszych śladów kontaktu narodu duńskiego z Polską należałoby szukać w zamierzchłych czasach wczesnego średniowiecza. Jest to doba umacniania się kultury chrześcijańskiej zarówno w wschodniej jak i północnej Europie, doba Bolesławów, Kanutów i Waldemarów. Polska polityka dążąca ku brzegom morza Bałtyckiego musiała niezawodnie natrafiać na Bałtyku na ślady obecności Duńczyków... Pierwsze te kontakty nie pozostawiły jednak żywszych śladów. Trzeba ich szukać znacznie później, a mianowicie w epoce, gdy państwowość polska, już silnie oparta o Bałtyk, żywy brała udział w polityce mocarstw Europy północnej. Jest to okres walki naszej z najazdem Karola Gustawa, kiedy król Jan Kazimierz idzie w sukurs napadniętemu równocześnie królowi duńskiemu i wysyła na pomoc Danji część swego wojska.

Piękna ta karta w naszych dziejach, związana z nazwiskiem jednego z pierwszych ówczesnych wodzów polskich, hetmana Stefana Czarnieckiego, nabiera jeszcze szczególniejszego znaczenia, jeśli się zważy, że stanowi jeden z bardzo nielicznych w dziejach naszych wypadków polskiej interwencji zbrojnej na rzecz Europy zachodniej.

O zdobytym w kampanji prestiżu wojennym Czarnieckiego świadczy fakt, że do dziś dnia figuruje postać Czarnieckiego wśród duńskiej galerji bohaterów wojennych na zamku Frederiksborg. W zamku tym, o godzinę drogi od Kopenhagi, który stanowi piękną skarbnicę pamiątek narodowych i wspommień z przeszłości Danji, widzimy naszego hetmana z buławą w ręce, o surowem spojrzeniu starca z długą siwą brodą. Portret ten, malowany w 1660 roku przez malarza duńskiego Broder Mathiesen, znajduje się w jednej z okazałych sal drugiego piętra, opodal wejścia do słynnej sali rycerskiej, która zwiedzających uderza przepychem stropu barokowego i wielką ilością barwnych gobelinów wśród ścian.



Hetman Stefan Czarniecki
Portret z 1660 r., znajdujący się na zamku w Frederiksborg

TĘSKNOTA DO OJCZYZNY

2-go lipca 1933 roku Poseł Rzeczpospolitej Polskiej w Kopenhadze, p. Minister M. Sokolnicki, przybył na zebranie Polaków w Aalborgu i wygłosił budujące przemówienie o tęsknocie do Ojczyzny. Oto wyjątki tego przemówienia:

„Jest mi bardzo miło znaleźć się wśród Rodaków, tutaj, na północy Danji, w sercu Skandynawji, nad fjordem Aaborgu Wzruszyła mnie serdecznie Wasza liczna tutaj obecność, przedewszystkiem zaś dzieci, które, jak widzę, nie zapominają mowy i wiary swych Ojców. Wzruszyło mnie głęboko w tym duńskim kraju, na dalekiej północy słuchanie polskiego nabożeństwa, wymawianie razem z Wami słów polskiej modlitwy, słuchanie pieśni polskiej w kościele... W Waszych zaś oczach Rodacy, w serdeczności Waszego powitania, w chęci, z jaką się tu zeszliście tak licznie, by wysłuchać słów moich, widzę tylko dowod, że pamiętacie o Ojczyźnie i ta pamięć przejęła mnie głęboko... To też tak jak Wy pamiętacie o kraju, czujecie z nim razem. tęsknicie do Ojczyzny, tak samo i Polska, wielkie państwo polskie dzisiejsze, pamięta o Was i czuje z Wami Jeżeli wśród wielu zajęć i obowiązków znalazłem czas i możność, aby tu przyjechać, Was odwiedzić i do Was przemówić, to dlatego, że chciałem Was jako przedstawiciel Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, imieniem kraju pozdrowić. Chciałem Was zapewnić w imieniu ludu polskiego i w imieniu władz naszego państwa, że Polska, że państwo polskie, pamięta o swoich na obczyźnie synach, choćby — jak tutaj — byli rozproszeni, choćby jak — w tym dalekim kraju — byli tylko garstką. I widząc Waszą tęsknotę za dawnym krajem, za własną mową i obyczajem, chcę Wam za to i za wierność Waszą z całego serca w imieniu Polski podziękować.“

NA WYSPIE BORNHOLM

Na Bornholmie mieszka do 30 rodzin polskich, przeważnie w południowej części, naokoło miasteczka Aakirkeby, które w średniowieczu było najważniejszą osadą wyspy i siedzibą zastępcy arcybiskupa z Lundu (dziś Szwecja), zwierzchnika kościelnego Bornholmu. Pierwszy dom na lewo, na naszej dolnej ilustracji, to dom Jana Panka, rolnika z miejscowości Pedersker, oddalonej o 7 km. od Aarkirkeby, drugi dom Andrzeja Skoczylasa w miejscowości Egelund, trzeci Michała Sadowa w Pedersker.

Polacy bornholmscy przebywają na tej wyspie od 20—30 lat. Większość posiada własne gospodarstwa, dochodzące do 15 mórg roli.

Na Bornholmie istnieją obecnie dwa kościoły katolickie: w Ronne i Aakirkeby. Proboszczami obu kościołów są księża — dominikanie Holendrzy: ks. Bartel i ks. Zoetmulder. Ks. proboszcz Zoetmulder włada językiem polskim, ale od pewnego czasu urządzanie nabożeństw polskich zaniechał, chociaż $^{3}/_{4}$ ogółu osób, uczęszczających do kościoła, to Polacy, a tylko $^{1}/_{4}$ — katolicy — Duńczycy.

OBELISK w SCHWECHAT

Jest to smukła kolumna z piaskowca, wysokości około 5 metrów, osadzona na cokole, a oparta na czterech kulach działowych kamiennych, wzniesiona z własnej inicjatywy i własnym kosztem cesarza i opatrzona inskrypcją własnego układu, bo był biegłym



Obelisk w Schwechat pod Wiedniem

epigrafikiem, co potęguje jego historyczną doniosłość. Napis brzmi w skróceniu:

„W roku 26-tym pełnego chwały panowania Leopolda I. zjechali się na tem tu miejscu w dniu 15-go września 1683 roku w otoczeniu elektorów, wodzów, książąt i magnatów tenże sam Leopold i Jan III król Polski, dwaj jak okiem sięgnąć najwięksi Monarchowie Europy...“

Aby ocenić należycie doniosłość tego publicznego zrównania się cesarza z rangą niższym królem polskim, trzeba sobie uprzytomnić, że dumny i nieprzystępny monarcha uważał siebie za Boga na ziemi, a jego majestatu — jak to uwiecznił Solimena w obrazie galerji cesarskiej, dziś narodowej, że zatem ten cesarz, hołdując w ten sposób publicznie królowi polskiemu, stwierdził autorytatywnie z wysokości tronu historyczną prawdę o wielkości i potędze Narodu Polskiego.







Domy i zabudowania gospodarskie kolonistów polskich na wyspie Bornholm w Danji

La Republica Oriental del Uruguay



Ogólny widok Montevideo, stolicy Uruguayu

Rio de Janeiro należy już do przeszłości... Opuściłem to miasto... Jest już poza mną... Ale żyje we mnie wspomnienie jego piękna i kolorytu... Teraz płynę dalej na południe... Patrzę na puszczę zupełnie zbliska, widzę małpy na drzewach oraz Indjan w ich prymitywnych chatach... Przeżywam ostatnie dni beztroskie... Pasażerowie w gorączkowym pośpiechu zbierają swoje bagaże, bo mają już wysiąść w portach La Platy: w Montevideo i Buenos Aires. Ostatni wieczór zapada dla mnie na statku, na którym płynę. Opieram się o poręcz i widzę zbliżające się Montevideo, stolicę republiki uruguayskiej, do której zmierzam. Na prawo ostatnie blaski zachodzącego słońca padają na skaliste wzgórza. Jest to Cerro, na którego wierzchołku znajduje się fort, który chroni wjazdu do portu.

Przypomina mi się historja założenia Montevideo. Przed wieloma laty płynął włoski żaglowiec przez Atlantyk. Złe wiatry zmieniły kurs statku, kompas się zepsuł, a głód począł zagrażać załodze na pół zniszczonego statku. Blizcy szaleństwa nieszczęśliwcy postanowili rzucać kości, by one zadecydowały, kto z nich ma być zabity, by jego mięsem mogła się załoga utrzymać przy życiu. Los zrządził, że najmłodszy z załogi stał się ofiarą strasznego przeznaczenia. Chłopiec błagał z płaczem o litość, ale wszyscy pozostali twardzi i niewzruszeni. Tylko jeszcze jeden dzień mu pozostał. Biedny chłopiec okrętowy wdrapał się na szczyt masztu w nadziei, że dostrzeże ląd. Godziny mijały, a on nadarmo wypatrywał lądu. Nic oprócz szklistej powierzchni wokoło na bezbrzeżnym oceanie. Już się wydawało, że nadchodzi jego ostatnia godzina... Raptem podniósł się radosny krzyk: „*Monte veo! Monte veo!* (Widzę górę! Widzę górę!)

Była to góra Cerro, która się ukazała na horyzoncie. Bogata ziemia dała przytułek i pożywienie uratowanej załodze, a potem na tem pustkowiu wyrosło miasto Montevideo.

Ostrożnie zbliża się statek do portu. Wielkim łukiem rozciąga się miasto i rozległy port. Ukazują się wieże i kopuły. U stóp Cerro widać olbrzymi szyld, który oko ciągnie ku sobie. Na nim tylko pięć liter, ale takich, które dla mieszkańców mają wielkie znaczenie. To jest „*Swift*", największa fabryka konserw mięsnych i chłodnia w Uruguayu. Nazwa „*Swift*" nietylko jest na szyldzie, ale ona mówi do przechodniów: „Ty chodzisz po wolnej i suwerennej republice

Do naszych Czytelników w kraju!

Kto otrzyma pocztą pierwszy okazowy numer „Polaków w całym świecie“, niechaj na konto P. K. O. Nr. 310.202 wpłaci roczną (za 24 zeszyty), półroczną (za 12 zeszytów) lub kwartalną (za 6 zeszytów) prenumeratę. Kwartalnie 6 zł., na pół roku 12 zł, na cały rok 24 zł. Kto, po otrzymaniu pierwszego zeszytu, nie wpłaci należności, następnego zeszytu już nie otrzyma!

południowo-amerykańskiej. Ale nad tą wolnością i suwerennością stoi U S. A., majestat dolara Stanów Zjednoczonych“...

Statek przybił do portu i dzieje się to samo, co w innych portach przy wyładowaniu pasażerów i bagaży. Wszędzie hotelowi portjerzy, którzy targują się z gośćmi, tragarze, którzy się zapraszają natrętnie i niezliczona masa ciekawej gawiedzi. Rewizja celna przechodzi szybko i idziemy w stronę miasta. Montevideo jest miastem półmiljonowem i stolicą Uruguayu, a jednocześnie jednym z najważniejszych portów w Ameryce Południowej. Kraj liczy wogóle 2 miljony mieszkańców i zajmuje przestrzeń około 180 000 km.², to też niema w tem nic dziwnego, że Montevideo z czwartą częścią ludności całej republiki jest nietylko stolicą i ogniskiem władz państwowych, ale ośrodkiem życia całego kraju.

Uruguay w pojęciu południowo-amerykańskiem jest państwem małem, ale gęsto zaludnionem. Oczywiście wyraz „gęsto“ jest odpowiedni, ale tylko dla tamtejszych stosunków. W naszem polskiem pojęciu jest to kraj bardzo mało zaludniony. Na takiej powierzchni, jaką zajmuje Uruguay, w Polsce mieszka 15 razy więcej ludności. Kraj jest przeważnie płaszczyzną i posiada większe obszary leśne, ale tylko na północy



Za pomnikiem gmach „Ministerio de Industrias“

na granicy z Brazylją. Naogół kraj ten uważać należy za kraj pastwisk, które znajdują się w ręku kilku wielkich właścicieli. Ci wielcy właściciele głównie trudnią się hodowlą bydła. To też „ciężki“ przemysł Uruguayu jest ściśle związany z hodowlą bydła.

Ciężki przemysł Uruguayu

Początkowo znajdowali się w całym kraju mniejsi „*caladeros*“ i „*mataderos*“ (rzeźnictwa i wędzarnie).

Z napływem kapitałów obcych następowały inwestycje i powstawały wielkie fabryki konserw, które doszły w końcu do tego, że poczęły mrozić mięso i w tym stanie eksportować zagranicę. Fabryki te przed wojną światową znajdowały się w ręku obywateli północno-amerykańskich, angielskich i niemieckich. Mała republika uruguayska, jak wiadomo, w czasie wojny światowej stanęła po stronie aljantów i wypowiedziała wojnę Niemcom, upatrując w tem swój interes. Interes okazał się tak doskonałym, że republika, po szczęśliwej wojnie, zdołała wyprzeć ze swego kraju kapitały obce,... nie wyłączając swoich sprzymierzeńców angielskich. Obecnie największe fabryki „Swifta“ i „*Frigorifico Artigas*“ należą do Amerykanów z U. S. A., a na trzeciem miejscu znajduje się „*Frigorifico National*“ z kapitałami krajowemi. Obok wielkiej liczby mniejszych, te trzy przedsiębiorstwa znajdują się w Montevideo, by swe produkty wprost statkami wywozić zagranicę — do Anglji, Francji i Włoch. Produkuje się zasadniczo dwa gatunki mięsa: zamrożone (frozen beef) i chłodzone (chilled beef). Przedsiębiorstwa te są bardzo interesujące, a system pracy polega na tem, że do fabryk przychodzi żywe bydło, a wychodzą zamrożone konserwy. Przy uboju, czyszczeniu i t. p. czynnościach pracy nie da się zmechanizować, to też praca rąk ludzkich triumfuje tu w całej pełni. Zresztą tu w tym kraju, gdzie praca ludzka w przeciwieństwie do U. S. A. jest bardzo nisko opłacana, maszyny nie są potrzebne.

W „Frigorificos“ wszystko da się zużytkować. Mięso zamienia się na mięso mrożone (corned beef), z wnętrzności jak wątroby, nerek i serca przygotowuje się oddzielne konserwy, ozory i mózg przyprawia się, skóry się soli, z krwi produkuje się nawozy, a kości odsyła się do młynów. Tylko dzięki temu zupełnemu zużytkowaniu ceny mięsa utrzymują się na tak niskim poziomie, że niższy już być nie może. Naprzykład dla robotnika w fabryce kg. mięsa kosztuje 50 groszy. Przez ten wywóz mięsa oraz ubocznych produktów bilans handlowy Uruguayu jest aktywny, a pieniądz (pesos) utrzymuje swoją wartość.

„Frigorificos“ znajduje się w Montevideo u stóp Cerro. Dla przyjezdnych spacer w tej części miasta przedstawia się nadzwyczaj interesująco. Ten „ciężki“ przemysł zgromadził u siebie wszystkie narodowości świata, a robotnicy pobudowali sobie wokoło niego swe małe domki. Domostwa w większej części pobudowano z materjałów odpadkowych, z drzewa ze skrzyń, a pokryto je blachą z konserw... Zgromadzają one w sobie przybłędów z całego świata, którzy z czasem znajdą tu źródło dla swej egzystencji. Takie groteskowe widoki oczywiście tam tylko są możliwe, gdzie

policja budowlana niema nic do mówienia. Gdzieindziej np. zarazby się znalazło jakieś „ale“ ze strony policji budowlanej i tama dla tego rodzaju przedsięwzięć byłaby gotowa.

Godność kobiety chroniona prawem... Flirt wykluczony...

Im bliżej miasta, ulice mają bardziej europejski charakter. Niektóre domy wzbijają się w obłoki, a pięknie położone place zdobią palmy i trawniki. Ulice idą równolegle, to też orjentacja w mieście jest bardzo łatwa. Konne omnibusy i niezliczona liczba aut umożliwiają szybkie odbywanie wielkich przestrzeni. Na ulicach tej południowo-amerykańskiej metropolji życie tętni jak w Paryżu, Warszawie, Londynie. Wszędzie na rogach ulic widzi się grupki ludzi, którzy debatują i gestykulują z temperamentem właściwym ludziom podzwrotnikowym.

Życie kawiarniane jest bardzo osobliwe i zupełnie różni się od naszego. Tylko w „*Salons para familias*“ można spotkać kobietę, ale tylko w gronie rodziny. Młodzież gromadzi się w osobnych salach, ale wszelki flirt z płcią piękną jest tu zupełnie wyeliminowany. Godność kobiety do tego stopnia jest tu chroniona przez prawo, że zaczepki na ulicach lub zawieranie znajomości jest karane z całą surowością. Niebezpieczne prawo wtedy tylko oszczędza, gdy rodzina w tej znajomości widzi przyszłe małżeństwo. Ponieważ to pisane i niepisane prawo, mające czuwać nad moralnością, okazuje się stałą przeszkodą dla młodzieży, to też przekraczanie go jest bardzo ponętne Zresztą jakby to było!?! Przy tym podzwrotnikowym temperamencie można sobie wyobrazić, coby się działo gdyby takich wyjątkowych praw nie było!?!

Kiedy świetna władza przymyka... trzecie oko

Czasem tylko świetna władza jedno oko zamyka, czasem i dwa,... a niekiedy zamknie i trzecie oko... Ale to się stać może tylko w czasie karnawału. Karnawał przypada tu wśród lata, gdy upalne dni z chłodnemi wieczorami nastają. Wtedy radość mieszkańców Uruguayu nie ma już granic, a ulice zamieniają się na place zabaw ludowych.

Setki tysięcy lampionów oświetlają fronty domów, co kawałek grają orkiestry, a rozbawiony korowód przeciąga ulicami. Na ulicach spotyka się wielkie trybuny z lożami, a najlepsza sfera Uruguayu wyznacza sobie w nich randkę. Różnobarwne węże i konfetti wirują w powietrzu jak wesołe płatki śniegu, a ogłuszające wrzaski unoszą się wokoło.

Gdy centrum Montevideo — ze względu na swoje wielkomiejskie domy handlowe oraz wielki ruch uliczny — równa się wielkim miastom europejskim, zaciera się to wrażenie zupełnie, kiedy się przejdzie kilka wielkich ulic. Ujrzymy wtedy zbiorowe domy o płaskich dachach, na których mieszkańcy spędzają chłodne wieczory.

Montevideo ma pełne przepychu plaże, które się ciągną na daleką przestrzeń. Sławną jest plaża *Pocitos*, gdzie znajdują się wspaniałe hotele. Tu w pełni lata spotyka się gości z całej Południowej Ameryki. Są tu również plaże popularne, przystępne dla wszystkich, jak plaża *Ramirez*, które swoim wyglądem przypominają place targowe w wielkich miastach.



Z życia kolonistów polskich w Uruguayu

Uruguay jest rajem dla piłkarzy. Dwa wygrane mistrzostwa świata spopularyzowały w masach ludowych ten sport i nie trzeba daleko chodzić, by zobaczyć sławnych piłkarzy, uchodzących tu za bohaterów narodowych. Dzień powrotu zwycięskiej drużyny piłki nożnej był obchodzony jak wielkie święto narodowe, poszczególne składy były zamknięte, a uroczysty pochód towarzyszył zwycięzcom do pałacu prezydenta, który się znajduje w środku miasta.

Inni mieszkańcy oddają się z namiętnością grom hazardowym i zakładom. Aby już dać pełne zadowolenie mieszkańcom, władze państwowe urządzają raz na tydzień loterje powszechne, a główne wygrane sięgają 50 do 250.000 złotych pesos. Losy sprzedaje się w składach, a nawet na ulicach. Ruch uliczny w dniu ciągnienia przybiera osobliwy charakter. Krzyk sprzedawców, ofiarowujących swoje ostatnie losy, zagłusza ruch uliczny. Ostatnia godzina przed ciągnieniem z całą gwałtownością jest wyzyskiwana, aby ostatni pieniądz wyciągnąć z kieszeni publiczności, która żyje nadzieją wielkiej wygranej. Każda loterja jest wysprzedana do ostatniego losu, co ma także swoje dobre strony, ponieważ 30% ze sprzedanych losów przeznacza się na świadczenia socjalne dla niezamożnej ludności.

U wielu słowa Południowa Ameryka lub Uruguay wywołują myśli pełne fantazji. Niejeden myśląc

o Uruguayu przedstawia sobie, że w tym kraju zobaczy dzikich Indjan, polowania w odwiecznych puszczach i inne romantyczne rzeczy. Tymczasem jest to państwo o regularnem życiu, w którem ciężko trzeba pracować, iść naprzód i zdobywać nowe tereny dla rozrastającej się ludności. Napływ emigracji i zagadnienia kolonizacyjne są najważniejszemi i najbardziej interesującemi sprawami kraju.

Zagadnienia emigracyjne

Rok za rokiem tysiące Polaków i innych opuszcza swe progi rodzinne, by w dalekich krajach szukać chleba i szczęścia. Przed wojną wędrówka w dalekie kraje była przedsięwzięciem dla przygód, ale dzisiejsze stosunki gospodarcze to uniemożliwiają. Dziś wędrują tylko ci, którzy szukają stałego oparcia, nie znajdując go we własnym kraju.

Po wszystkich gazetach czyta się rozpaczliwe artykuły o konieczności emigrowania z Polski całych tysięcy naszych rodaków. Tymczasem nie jest to rzeczą tak prostą, bo nietylko w Polsce przeżywamy kryzys gospodarczy, ale i kraje amerykańskie nie są oszczędzone od naporu kryzysu.

Pytacie mnie, czy jest tu możliwa emigracja i jakim warunkom zadość uczynić należy, aby się tu dostać. Wielu czytelników „*Polaków w całym świecie*" będzie ten temat interesował. Moje informacje będą zupełnie objektywne i niezafarbowane żadną przesadą. Chęci do wyemigrowania z kraju macierzystego wielu może mieć dużo, ale do zrealizowania tego droga jest długa i uciążliwa. Kto udaje się w obce kraje, najczęściej wchodzi w całkiem nieznane stosunki i trzeba lata tam spędzić, aby zapoznać się z obcą mową i zwyczajami i do pewnego stopnia stać się krajowcem.

Co to jest umiłowana ojczyzna — *choćby biedna* — i jak ją cenić należy, wtedy dopiero się to zrozumie, gdy się jest od niej daleko.

Emigracja do krajów tropikalnych wymaga szczególnego zastanowienia. Jakież niebezpieczeństwa zawiera ten tropikalny klimat dla naszych nieprzyzwyczajonych organizmów!?! Ten tylko może coś o tem powiedzieć, kto przebywał pod zwrotnikiem. Niejeden pobyt swój przypłacił tam zdrowiem, a nawet życiem. Niejednemu, któremu udało się tam wszystko przeżyć, a nawet dorobić się większego majątku przez uciążliwą i żmudną pracę, po tylu męczarniach nie daje mu to jednak wielkiego zadowolenia i zawsze nurtuje go tęsknota za ojczyzną, na której łonie chciałby przeżyć zmierzch swego życia. Gdy postanowi wyjechać, nie znajdzie jednak nabywcy na swoją posiadłość, bo z miejscowych nikt nie kupi, a nowi emigranci, przyjechali tu poto, aby się czegoś dorobić, a nie przywozić pieniądze.

Więc czy majątek ma tylko dzieciom zostawić? Niestety, jest to wielką tragedją, że w wielu krajach podzwrotnikowych dzieci europejczyków tam urodzone nie są zdolne do życia. To też emigracja polska kierować się może tylko do tych krajów, które klimat mają umiarkowany.

Uruguay ma idealne warunki klimatyczne dla polskiej emigracji. Mamy tu upalne lato, a zimę bardzo łagodną. Opady śnieżne i mrozy są tu prawie nieznane. Opady deszczowe dość umiarkowane na wiosnę i jesienią. Na naszej półkuli zima odpowiada polskiemu latu, a jesień podobna do polskiej wiosny. Uruguay ze swoimi równinami w naszem polskiem pojęciu jest krajem słabo zaludnionym. W interesie kraju leży, by ściągnąć do niego wszelką emigrację, by powstawały nowe kolonje.

Dotychczas w tym kraju około 85% powierzchni zajmują pastwiska, to też wypas bydła stanowi główne źródło zarobku ludności. Cały kraj posiada zaledwie 2 miljony ludności, natomiast bydła posiada 25 miljonów sztuk, t. j. 12 na mieszkańca. Chociaż klimat sprzyja rozwojowi wszelkich zbóż, winogron, uprawie tytoniu, hodowli owoców i odwdzięcza się za pracę z całą hojnością, zaledwie 800.000 hektarów znajduje się pod uprawą. Dlatego też kolonizacja terenów w sensie europejskim ma przed sobą ogromną przyszłość. Jest to rzeczą naturalną, że emigranci, którzy pragnęliby zająć się tą kolonizacją kraju, przywieźć muszą ze sobą pieniądze, jednak nie w takiej ilości jak do innych krajów. 10 000 zł. należy uważać za sumę dostateczną. Jak sam się naocznie przekonałem, rząd uruguayski bardzo wydatnie popiera kolonizację. Przybywający koloniści przy kupnie małej farmy, 15% należności płacą gotówką, a 85% ceny kupna zabezpiecza się na hipotece oczywiście za pewnem oprocentowaniem. Rząd na podstawie ustawy z roku 1890 opłaca przejazd kolonistów III. kl. do miejsca przeznaczenia. Oprócz tego w ciągu 8 dni są utrzymywani na koszt państwa aż do odstawienia ich na oznaczone miejsca.

To też, kto przybywa do Montevideo powinien zaraz się zgłosić do konsulatu swego kraju, aby otrzymać adresy tych, którzy ziemią handlują. Kto zna język hiszpański, odrazu może się zgłosić do wydziału emigracyjnego przy „*Ministerio de Industrias*". Wydział ten nazywa się „*Direccion General de Immigracion e Inspeccion General de Colonias*". Niebezpiecznie jest zadawać się z nieznajomymi, którzy tylko czyhają na to, aby złapać głupiego i obedrzeć ze skóry. Dla poczynienia odpowiednich przygotowań do dalszego wyjazdu, w Montevideo trzeba się zatrzymać na przeciąg paru dni. Jest wskazanem i pożądanem, aby każdy emigrant zaopatrzył się w narzędzia pracy, bowiem przewóz jest tani, a opłat celnych niema żadnych. Również pobyt w Montevideo zbytnio nie obciąża. W dobrym pensjonacie można dostać mieszkanie wraz z utrzymaniem na jedną osobę najwyżej za 1

Polaku poza granicami kraju macierzystego!

„Polacy w całym świecie“ przyczynią się do tego, że zdołasz utrzymać żywy kontakt z krajem macierzystym. Pisz swoje przeżycia, korespondencje, nadsyłaj fotografje, zostań stałym prenumeratorem „Polaków w całym świecie“.

pesos. Wskazanem jest, aby nowoprzybyły kolonista na pewien czas zaciągał się do służby u miejscowego obszarnika, żeby zapoznać się z krajem, ludźmi i sposobem uprawy roli. Należy brać pracę, jaka się nadarzy. Można zostać zatrudnionym w charakterze *mucano* (służącego), jardinero (ogrodnika) albo tylko jako peon (robotnik). Poznanie tych wszystkich prac okaże się prawdziwem dobrodziejstwem dla kolonisty.

Gdy się nabywa ziemię, jest wskazanem, aby ją dokładnie obejrzeć. Dotychczas rola uprawna znajduje się w południowych prowincjach Uruguayu, albo od strony Brazylji, gdzie udają się pomarańcze. W tych stronach ziemia jest tańsza. Przeciętnie można liczyć od 300 do 400 zł. za hektar, to też za chacrę (farmę) 50-hektarową aby ją dostać w posiadanie, wpłaca się do 3000 zł. gotówką. Suma hipoteczna zostaje oprocentowana do wysokości 3 od sta i amortyzuje się w przeciągu 33 lat. Kolonista, którego kapitał nie przekracza 10 000 złotych, po nabyciu farmy oczywiście musi bardzo oszczędzać. W najlepszym razie dopiero po upływie 9 miesięcy będzie miał pierwsze zbiory. Po nabyciu farmy, pierwszą rzeczą jest budowa domu. Najpraktyczniej wybudować prymitywny domek, a z zimnem liczyć się nie potrzeba. Budowa studni i założenie ogrodu są to rzeczy późniejsze. Najlepszy czas na budowę jest od marca do lipca, ponieważ żniwa odbywają się dopiero od listopada do stycznia. Przeważnie uprawia się tu pszenicę, kukurydzę i len. W niektórych częściach kraju udaje się uprawa tytoniu i ryżu, a w prowincjach Salto i Colon winogrona. W roku 1930 produkcja wina osiągnęła $^1/_2$ miljona hektolitrów. Ma także wielką przyszłość przed sobą uprawa jarzyn i owoców. W Montevideo ceny na te produkty trzymają się na bardzo wysokim poziomie.

Herva...

W północnych więcej podzwrotnikowych stronach można uprawiać swego rodzaju krzewy zwane herva, których ususzone i utarte liście zastępują tu herbatę. Herbata ta rozpowszechniła się w niektórych stanach Południowej Ameryki, a sposób jej użycia jest bardzo ciekawy.

Do spożywania tego napoju na sposób południowo-amerykański służą maté i bombilla. Maté jest to małe naczynie w kształcie melonu, często pięknie rzeźbione i oprawione w srebro, o rozmiarach odpowiadających naszej filiżance do kawy. Bombilla to znów srebrna rurka długości do 20 cm. zakończona wygięciem w kształcie łyżeczki. Łyżeczka ta jest podziurkowana. Maté napełnia się w $^1/_3$ hervą i zalewa się gorącą wodą. A teraz dla nowicjusza rozpoczyna się bardzo trudna robota. Bombillę należy tak ostrożnie włożyć do naczynia, aby się dziurki w niej nie zatkały. Wtedy dolewa się gorącej wody i kiedy przez kilka minut ta osobliwa herbata naciągnie, gorący napój za pomocą bombilli tak się wyssysa jak przez słomkę.

Napój jest gorzki jak żółć, jednak w Południowej Ameryce pije się go bez cukru. Nowicjusz musi się przyzwyczaić nietylko do smaku, ale do tego poparzy sobie usta rozgrzaną metalową bombillą. Działanie tego oryginalnego napoju jest bardzo korzystne dla organizmu, szczególnie w tym gorącym kraju, gdzie się spożywa dużo mięsa, które nadzwyczajną świeżością nigdy nie grzeszy.

W złem świetle przedstawiłby się obcy, któryby nie przyjął podanej mu maté i bombilli, obraziłby swoich gospodarzy tak samo jak np. Indjanie obrażają się, gdy ktoś im odmówi pociągnięcia z fajki pokoju, która przechodzi z ust do ust. Jak w Rosji stale piją herbatę i palą przytem papierosy, tak samo tutaj herva-maté jest napojem stale używanym. W ciągu każdej przerwy w pracy, czy to w fabrykach, czy na pastwiskach wszyscy gromadzą się wokoło maty i kręcą papierosy z czarnego krajowego tytoniu. Gdy się



„Frigorifico National“, w której pracują kapitały krajowe. Przemysł ten zgromadził wszystkie narodowości świata

Organizacje polskie w Ameryce,

które pragną informować rodaków w kraju macierzystym o swej działalności i żywotności, niechaj zaprenumerują sobie „Polaków w całym świecie.“

ktoś zbliży do takiej grupy, zaraz jest zapraszany i częstowany i nie może się od tego wymówić, choćby mu nie smakowało. Wieczorem w gronie rodziny matê jest czemś, co stale być musi.

Krzak hervy od 5 roku życia stale przykrywa się liśćmi. Jest w zwyczaju nabywanie krzewów 3-letnich, aby po upływie następnych trzech lat zbierać z nich liście. W dobrym roku dochód z jednego hektara dochodzi do 3000 zł. Łatwo obliczyć, jaki to daje dochód, gdy ktoś obsadzi naprzykład 10 hektarów hervą. Uprawa hervy nie wymaga licznego inwentarza, można się ograniczyć do kilku krów i koni. Cena krowy lub konia wynosi około 200 zł. Bydło stale pozostaje na pastwiskach, koloniści pozostawiają go własnemu losowi i zabierają wtedy, gdy stada się rozmnożą. Gdy hodowla bydła odbywa się na sposób europejski, farmer ma lepsze rezultaty, rząd patrzy się na to przychylnie i popiera ten sposób hodowli. Gdy nadejdzie rok nieurodzaju, farmer ma w zapasie bydło, które może wysprzedawać wielkim „Frigorificos“ i tym sposobem nie odczuje klęski.

Zresztą wszystko na świecie jest kwestją przypadku i szczęścia. Kto — jakto się u nas mówi — urodził się w czepcu, bardzo szybko może tu dojść do majątku, komu natomiast szczęście nie sprzyja, ten może całe życie pracować i nic nie mieć. Zazwyczaj człowiek nigdy za wiele szczęścia nie ma. Gdy szczęście na kogoś przyjaźnie dmucha, jedne żniwa wystarczą, aby go postawić na nogi... Ale gdy tego szczęścia niema!?! Całe lata mogą upływać i niejeden dobrych żniw nie ma. W Uruguayu, jak wszędzie na świecie, pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki, emigrant polski ciężko tam pracuje, często jest pod wozem, a wśród palm i nadmiaru żywności musi może więcej pracować niż w kraju macierzystym.

INŻ. STANISŁAW NOWAK
MONTEVIDEO

Miedziana Chuquicamata

Skoro powołujecie się na brata mego Adolfa z Królewskiej Huty, choć daliście mi bardzo niewiele czasu, piszę do pierwszego zeszytu „Polaków w całym świecie“, jednocześnie wyrażając radość, że tak pożyteczne i potrzebne pismo powstaje. Cieszę się, że kolebką czasopisma będzie Król. Huta, Górny Śląsk, z którego pochodzę i do którego serce moje rwie się, jak do swoich, najbliższych i najdroższych. Byłem zaledwie rok na Polskim Górnym Śląsku, ale żyję temi chwilami... Ponieważ list mój ma iść do Was całe pięć tygodni, muszę się spieszyć, byście go mieli już w początkach września. Piszę ogólnie o Chili, a do następnego zeszytu wyszukam Wam portret oraz napiszę życiorys wielkiego Polaka i wielkiego obywatela Chili, *Ignacio Domeyki.*

Na całej przestrzeni Republiki Chilijskiej Polaków jest mała garstka, ale niema miasta i miasteczka, w któremby nie było placu lub ulicy Ignacego Domeyki, wielkiego naszego rodaka. Ale o tem w następnej korespondencji.

Na wstępie przesyłam bratu memu z serca płynące gorące pozdrowienia, jak również moim przyjaciołom, krewnym i znajomym na Polskim Górnym Śląsku i w Wielkich Strzelcach. Dotychczas jedna wymiana korespondencji z rodziną trwała 10—12 tygodni, to też o ile sobie przypominam, ostatni raz do brata mego Adolfa pisałem 21. czerwca 1931 roku. Teraz będę pisał jeszcze rzadziej, skoro robicie mnie głównym korespondentem w Chili. To też będę pisał i ogólnie i



Kopalnie miedzi inaczej wyglądają niż kopalnie węgla lub rud cynkowych. W Chuquicamata są całe olbrzymie góry z miedzi. Chodzi więc o „zdejmowanie“ tych gór... Oto widok „gmachów“ generalnej dyrekcji w Chuquicamata, zatrudniającej normalnie 12 000 robotników

o sobie... Brat mój, znajomi, przyjaciele i rodzina dowiadywać się będą o mnie z „Polaków w całym świecie“. Obecnie za pośrednictwem „Polaków w całym świecie“ będę utrzymywał kontakt z krajem macierzystym i z wszystkimi kochanymi. Również mój kolega - inżynier zatrudniony wraz ze mną napisze do Was korespondencję, ale w języku niemieckim, bo po polsku dużo zapomniał. Jednocześnie przesyłam Wam fotografje z Chili i Chuquicamata, a przedewszystkiem mojego syna i córki, którzy Polski jeszcze nie widzieli.

Od 2 lat na terenie Republiki Chilijskiej — jak zresztą na całym świecie, — układają się stosunki po-



Mapa Chili
Chuquicamata na północy — na prawo od portu Antofagasta

prostu beznadziejnie. Najgorsze przyszło w roku 1931. Najpierw nastąpiła pierwsza obniżka moich poborów, potem obcięto mi 600 dolarów w stosunku rocznym, do tego doszło obcięcie 10-procentowe, a w roku 1932 znowu obniżka o 33 % poborów. W sumie zarabiam obecnie — mimo kontraktu — połowę tego co przed 3 laty. I to trzeba przyjmować w zupełnem milczeniu, bo w tej chwili wytworzyła się taka sytuacja w Chili, że nic się lepszego nie znajdzie. Trzeba być zadowolonym, że się wogóle ma jakąś posadę, bo obcokrajowcy stanowisk żadnych już nie dostają. I po Chili rozbrzmiewa dziś hasło: *Chili dla Chilijczyków!*

Wielu z czytelników tej korespondencji zapewne czytało w gazetach, co tu w ostatnich dwuch latach szalało. W każdym miesiącu, a nawet były wypadki, że co tydzień, pierwszy lepszy mianował się prezydentem republiki. Każdemu marynarzowi i każdemu feldfeblowi zdawało się, że on jest stworzonym na

wybawiciela kraju z tej nędzy, w jakiej się znalazł. Raz zaczęli mącić marynarze, tu znowu wojsko, tam lotnicy, za chwilę nauczycielstwo, to znów różne męty i komuniści. Byliśmy już naprawdę blizcy komunizmu, a to, co tu się w ostatnich 2 latach działo, oczywiście odbywało się kosztem interesów publicznych i państwa. Trwało to krótko, ale skutki okazały się straszne.

Przedstawcie sobie ogólną sytuację. Republika jest nastawiona tylko na dwa rodzaje przemysłu: *saletrę i miedź.* Przemysł saletrzany w różnych latach łamał się, ale w roku 1932 stanął zupełnie. Wszystkie kopalnie saletry zostały zamknięte. Wyrzucono na bruk bez chleba 280.000 ludzi. Cena miedzi tak spadła, że produkcja nietylko się nie opłaca, ale kosztów własnych pokryć nie można. Następstwem tego jest masowe zamykanie kopalń. Kopalnia Chuqui, w której jestem zatrudniony od 10 lat, zatrudnia obecnie 2000 robotników i 35 urzędników, gdy dawniej dawała pracę i chleb 12.000 robotnikom i 700 urzędnikom. A pracujemy od lat ze stratami. W całym kraju mamy obecnie 400.000 bezrobotnych, więc okazuje się, że wieczne rewolucje kraju na raj zamienić nie zdołały. Dodać muszę, że tu bezrobotny nic nie dostaje, żadnego wsparcia. Tu się mówi poprostu: Jak nie masz co jeść, to zdychaj!

Oczywiście tak tragicznie to się nie przedstawia, bo Chili jest najbardziej krajem kulturalnym w całej Południowej Ameryce. To też, aczkolwiek bezrobotny nie ma żadnego zabezpieczenia ze strony państwa, nastają prawa, że każdy, kto pracuje, musi część zarobku oddawać na bezrobotnych. Słowem, my, którzy jeszcze mamy pracę, musimy troszczyć się o bezrobotnych, żywić ich i ubierać. Te ofiary z naszej strony, świata pracy, wydają się bardzo duże, nie są jednak za wielkie, gdy się spojrzy na ten ogrom strasznej nędzy setek tysięcy bezrobotnych. Jest więc nie do przebaczenia, że na tem strasznem nieszczęściu żerują różni wywrotowcy, bandyci i inni awanturnicy.

Państwo jest kompletnie zubożałe. Z podatków niema nic, bo główne gałęzie przemysłu saletra i miedź przeżywają okropny kryzys i są nieruchome. Ale republika potrzebuje złota, aby móc utrzymywać chociaż swoich zagranicznych przedstawicieli, bo o długach zagranicznych już się nie mówi. Państwo musi mieć złoto, więc co robi, aby je zdobyć. *Początkowo noszono się z zamiarem konfiskaty złota w całym kraju.* Do tego nie doszło, natomiast państwo zakupiło je po ustalonym kursie 8,20 pesos za złotego dolara. To też wszystkie funty i dolary, jakie były w bankach krajowych zdeponowane, oczywiście z banków tych już nie wyszły, natomiast każdy deponent otrzymał kupę papierów wartościowych po kursie 8,20 pesos za dolara.

Teraz dopiero zaczęło się wchodzić do bagna, bo, gdy już wszystko złoto wyłowiono, dolar oficjalnie kosztuje 16,50 pesos, ale, gdy się chce go nabyć, płaci się za niego 70 do 80 pesos. Nie mogę powiedzieć o sobie, abym się w czepcu urodził... W roku 1918, gdy przyjechałem na Górny Śląsk, przywiozłem ze sobą 3000 dolarów. Te dolary wymieniłem na marki po kursie 40 za dolara i otrzymałem 120.000 marek. Zdawało mi się, że już jestem Krezusem... Tymcza-



Jerzy i Anna-Marja, dzieci inż. Gniłków,
urodzone w Chiquicamata, na wysokości 3 000 m nad poziomem morza. Jerzyk pragnie zobaczyć Polskę, którą zna z opowiadań ojca

sem przyszedł rok 1920 a z nim spadek marki... Zanim się w tem zorjentowałem, za moje 120.000 mk mogłem nabyć parę butów... Myślałem, że moje zdeponowane w banku 100.000 mk. jeszcze się kiedyś podniosą, więc nie wybierałem ich i do dnia dzisiejszego leżą w Katowicach w Disconto - Gesellschaft.

W Chili przeżyłem obecnie to samo. Miałem tu zdeponowane w banku 4.200 dolarów. Te dolary przewalutowano po przymusowym kursie 8,20 i mam obecnie 34.500 pesos. Tyle mi państwo wypłaciło. Teraz za dolara płaci się 70 po 80 pesos. Gdybym chciał kraj opuścić, ze swoimi 34.500 pesos nic nie zrobię, bo gdy je sprzedam, dostanę za nie zaledwie 500 dolarów. Straciłem więc okrągło 3700 dolarów. Obecnie dolar w Chili wcale nie egzystuje, a kto miał pecha, by swe oszczędności ulokować w dolarach, to też nie powinien płakać, ale wychłostać siebie za to, że był tak głupi. Teraz trzeba się cieszyć, gdy się $^{1}/_{10}$ oszczędności uratowało.

Naogół jestem zapobiegliwym człowiekiem, więc część oszczędności ulokowałem gdzieindziej... W New-Yorku na giełdzie, zakupując akcje towarzystwa, które swego czasu w szwindlarski sposób zwyżkowały, dochodząc do 340 dolarów. Za te akcje płaciłem po 50 dolarów, potem podskoczyły do 340, później spadły na 30, a ja się pocieszałem, że się podniosą i dojdą znów... do 340 dolarów. Tymczasem przedsiębiorstwo ogłosiło upadłość i akcje spadły na 5. Znów straciłem 1500 dolarów. Czy to nie kpiny z cudzego nieszczęścia?

Krótko mówiąc, w ostatnim roku wiele szczęścia nie miałem. Obliczam moje straty na 9000 dolarów, to jest gdybym tego nie stracił, byłbym bogatszy o tą sumę. Ponieważ teraz nie da się już nic zmienić, przestałem się skarżyć i martwić. To są rozmaitości

Dokładny adres Wydawnictwa:
„Polacy w całym świecie"
Telefon nr. 1167 — Królewska Huta
P. K. O. nr. 310202 — ul. Hajducka nr. 15
(Polska — Poland)

życia, ktore od niego brać trzeba. Jednego tylko żałuję, że tyle marzyłem o przyjeździe do Polski, by kraj Wasz odwiedzić, a do tego już zapewne nie dojdę. W tym roku kończył się mój 3-letni kontrakt i marzyłem, że w maju do Polski zawitam. Tymczasem wszystko prysło jak bańka mydlana. Obecnie nie robi się tu żadnych kontraktów, bo to należy do przeszłości... Pracuję z dnia na dzień i muszę być zadowolony, że się ma jakieś zajęcie... Najwięcej odczuje to moja żona i dzieci. Teść mojej żony pochodzi z Strzelec Wielkich, a żona tu się urodziła i jest obywatelką chilijską... Pragnęła zobaczyć Polskę... Tymczasem nic z tego... Resztki oszczędności trzeba trzymać kurczowo, bo mogą przyjść jeszcze gorsze czasy. Ja jednak jeszcze nie mam powodu do rozpaczy choć wiele straciłem i mniej zarabiam. Ale ileż tysięcy emigrantów widzi się tu wynędzniałych, głodnych, obdartych i opuszczonych, bez środków do życia i jakiegokolwiek oparcia.

Nędza dlatego tu jest tak wielka, ponieważ 90% bezrobotnych wzbrania się przed pracą, która im nie odpowiada lub uwłacza. Czy praca może poniżać? Cóżto? Czy inżynier też nie może pracować jako mechanik albo smarownik? A czy adwokat z braku pracy w swoim zawodzie nie mógłby naprzykład stróżować? Kto inaczej myśli, żyje przestarzałemi przesądami. Ja też przyjmowałem posady, które nie odpowiadały mojemu wykształceniu i korona z głowy mi nie zleciała. Gdyby tu emigranci w ten sposób myśleli, zawszeby jakąś pracę znaleźli.

Ale kończę tę pierwszą moją korespondencję. Mogę Was tylko zapewnić, że chociaż opuściłem strony



Inż. August Gniłka
(drugi z prawej strony — z papierosem w ustach) w towarzystwie kolegów i swej małżonki wypoczywa po pracy

ojczyste przed 10 laty, choć tylko rok spędziłem w Polsce Niepodległej i stałem się kosmopolitą, to jednak krew tętni w mojem sercu jak dawniej. Zawsze tęsknię nieopisanie za Wami, za krajem, za wioską polską, gdzie się urodziłem... Chciałbym to wszystko jeszcze zobaczyć... Zrozumiecie moją tęsknotę, gdy Wam jeszcze powiem, że prawie 10 lat bez przerwy siedzę wśród tej beznadziejnej puszczy na wysokości 3000 metrów. To też apeluję do mojego brata, by mi nadesłał trochę książek polskich, polskich gazet, bo my tu za tem bardzo tęsknimy.

INŻYNIER AUGUST GNIŁKA
CHUQUICAMATA

ZACHCIANKI CZARNEGO WODZA

Z PRZYGÓD POLAKA W AFRYCE

Było to przed wieloma wieloma laty, gdy Niemcy zajęli kolonje w Afryce Południowej, kiedy jeszcze jeziora i moczary zalewały piękną ziemię, należącą do czarnych ludzi. Dziś jest tam inaczej. Są miasta, wielkie kolonje, piękne plantacje, koleje żelazne, łodzie motorowe na jeziorach i rzekach, gramofony, radjo, telefony, telegrafy i ten cały nowoczesny jarmark, który się nazywa kulturą.

Czarni, którzy swego czasu paradowali w swej rajskiej nagości i siadali wokoło mnie, pytając naiwnie i żądając wprost śmiesznych rzeczy, obecnie chodzą w modnych ubraniach, w najmodniejszem obuwiu, a na głowach noszą sztywne kapelusze. Dziś umieją czytać i pisać, mają własne plantacje bawełny i tytoniu. Stali się nawskroś zmodernizowanymi. Nie pocierają już rąk na powitanie, jak to dawniej serdecznie czynili, nie chwytają palcami na dowód wielkiego zadowolenia... Dziś na powitanie zdejmują europejski kapelusz z eleganckim gestem... jak warszawski bywalec pierwszorzędnego kabaretu i starają się, by wrodzony im niemiły zapach skóry ukrywać w wonnościach kolońskiej wody lub innych perfum, co oczywiście udaje się im tylko częściowo, bo mieszanina zapachów kwaśno-słodkich rozpływa się od nich wokoło.

Czarni przyjaciele! Byliście mi ongiś o wiele sympatyczniejsi! Wy czarni chłopcy i wierni sąsiedzi! W waszej bronzowej piękności ciała i w brzydocie waszego oblicza, z waszemi nadzwyczajnemi i szczeremi pytaniami i bajecznemi żądaniami, byliście radością i natchnieniem w mojej samotności. Na świecie wszystko się kręci i plecie! Gdzieindziej za pośrednictwem kabaretu, operetki, sceny, boiska sportowego, dancingu i t. d. propaguje się kult nagości, a u was... kult ubierania i okrywania ciała.

Chia-Bada, stary przyjacielu z lat dawnych, minionych! Wojna wyrwała mnie od was i więcej wśród was nie wróciłem... Zażywam swobody w starym kraju, w Poznaniu... Ty może już dawno nie żyjesz!?! Ale ja cię ciągle wspominam i nigdy cię nie zapomnę... Wspominam te miłe chwile, gdy w cieniu rozłożystych palm, jako jedyny Polak na tej rozległej przestrzeni, przebywałem wśród was... Żona moja i młodsza jej siostra bawiły się z mojem najmłodszem dzieckiem, starsze dzieci w ukryciu odrabiały lekcje z nauczycielką, która z nami przyjechała z Bydgoszczy i była u nas zajęta... W dali kręcili się czarni, a mnie się zdawało, że jestem królem miedzy nimi... Wpatrywałem się w niezmierzoną dal mojej plantacji, wśród której wyłaniały się tu i tam wasze wysmukłe ciała jak ulane z bronzu, połyskujące w żarze i oślepiających blaskach afrykańskiego słońca.

Wtem przyszła wizyta... Lubujący się w spokoju, mój sąsiad Chia-Bada zjawił się u mnie w towarzystwie brzydkiego murzynka, który gdzieś kilka słów nauczy się po niemiecku i z tej racji był uważany wokoło za wielkiego i głośnego tłumacza... Za nimi postępowała wielka gromada czarnych, z tarczami i dzidami, co wywołało popłoch u żony i dzieci, które w panicznym strachu poczęły uciekać do domu. A mój czarny sąsiad, pocierając ręce o moje ramiona, na ten widok zaczął się śmiać serdecznie i przez swego wielkiego tłumacza kazał mi powiedzieć, że uważa siebie za wielkiego mojego przyjaciela...

Tymczasem jego ludzie, którzy tworzyli wokoło niego swego rodzaju straż przyboczną, złożyli swe tarcze i dzidy na ziemi i ugrupowali się malowniczo wokoło starego drzewa. Chciałem z tego zrobić zdjęcie i w tym celu przyniosłem aparat fotograficzny... Na ten widok przerażeni czarni przyjaciele rozbiegli się z krzykiem na wszystkie strony i dopiero wtedy się uspokoili, gdy aparat schowałem i odniosłem do domu.

— Nie trzeba nas strzelać... Jesteśmy dobrymi ludźmi... — wyjaśnia mi tłumacz w imieniu czarnego naczelnika.

I zaraz rozpoczęła się długa grzecznościowa rozmowa, czy jestem zdrów, czy kobiety są zdrowe, czy dzieci dobrze się chowają, czy bydło jest zdrowe, czy dach mojego domu nie przecieka, czy mam dosyć krów i kóz i t. d. Było to bardzo nudne, ale przecież musiałem się dać moim gościom wygadać i pozwolić im na wypełnienie ich form i zwyczajów towarzyskich.

Wkońcu wyjawiono mi właściwy cel przybycia Chia-Bady i odwiedzin jego straży przybocznej.

— Czybyś nam nie oddał jednej z Twoich białych kobiet, biały człowieku, o to cię prosi Chia-Bada, nasz władca — tłumaczył czarny — I mam Cię zapytać, co to ma kosztować!?!

Rozbawiony wołam moją żonę, szwagierkę, nauczycielkę, dzieci i domowników, żeby wysłuchali tych wesołych wywodów.

— On nie chce tej, która ma cztery oczy — tłumaczy czarny, wskazując na nauczycielkę, która nosiła okulary — Chia-Bada, nasz władca, chciałby jedną z z tamtych... On chce tą, która ma niebieskie kamienie w głowie, albo czarne perły...

Moja żona miała naprawdę prześliczne niebieskie oczy, a mała szwagierka czarne...



Chia-Bada gotuje się do wymarszu... Chciałby mieć białego syna... Bo biali ludzie znają czary, oni potrafią deszcze ściągać z nieba, umieją chorych uzdrawiać... Dlatego chciałby mieć białego syna...

Kazałem Chia-Badzie przez tłumacza powiedzieć, że ja posiadam tylko jedną żonę, a tamta z oczami jak czarne perły jest moją szwagierką, siostrą mej żony, i żadnej sprzedać nie mogę...

— To jest Twoja siostra, biały człowieku?

— Nie! Mojej żony...

— No, tak! To i u nas tak jest, że jeden człowiek ma dwie i trzy siostry za żony...

— Ale my, biali ludzie, mamy tylko jedną żonę — odpowiadam.

Chia-Bada pokiwał z niedowierzaniem głową...

— To wyście tacy biedni? — zapytał — Ja mam dużo dużo żon!

— No to, Chia-Bada musisz być zadowolony?

— Nie! Nie jestem nic a nic zadowolony... Ja chcę teraz mieć białą żonę... Dam ci za nią 20 centnarów muszli (pieniądz murzyński), 5 krów, 3 kozy i 2 dzbany najlepszego wina palmowego — i tłumacz na rozkaz swego władcy począł mi wyliczać wspaniałości tych darów.

Ja tylko potrząsałem głową i dziękowałem...

— U nas się kobiet nie sprzedaje — wyrzekłem.

— No, tak! Więc skąd masz te trzy!?!

Oni nie mogli pojąć, że tamte dwie, nauczycielka i szwagierka, nie były mojemi żonami. Wobec tego postanowiłem im to wytłumaczyć...

— Ja dostałem moją żonę w prezencie... Nic za nią nie dałem...

Chia-Bada w zamyśleniu poskrobał się za uchem...

— Czyż tak jest u was? U nas kobiety nie dostaje się w podarunku, bo wtedy się jej nie ceni... A dobre żony bardzo drogo kosztują... A ja Ci daję 2 razy tyle, wiele się u nas daje za najlepszą żonę.

— Ja ci, Chia-Bada, nie mogę sprzedać żadnej kobiety, bo to u nas jest poczytywane za najstraszniejszą hańbę.

Wtedy Chia-Bada znowu poskrobał się za uchem, przeciągle i tajemniczo zagwizdnął coś swoim ludziom... Oni to zrozumieli, bo zerwali się z ziemi, porwali za

Piękno wsi polskiej

Naszych czytelników wśród ziemiaństwa w Polsce prosimy o nadsyłanie nam fotografij dworków, kościołów i innych osobliwości wsi polskiej ze stosownemi opisami.

Chluba Śląska „Polacy w całym świecie" jest jedynem pismem na Śląsku, które wychodzi nietylko poza granice Województwa Śląskiego, na cały teren Rzplitej, ale idzie na cały świat, wśród wszystkie skupienia polskie. Ślązacy! „Polacy w całym świecie" — to Wasza chluba! To też nie trzeba specjalnie zachęcać inteligencję śląską do abonowania tego pisma.



Chia-Bada postawił przedemną trzy młode i urodziwe czarne kobiety, począł je klepać po biodrach, poobracał je przedemną naokoło, aby mnie przekonać, jaki to jest dobry towar...

broń i z hałasem sformowali pochód gotowy do wyruszenia.

Moje panie nabrały wtedy odwagi i poczęły sobie żartować z zachcianek czarnego naczelnika. Tylko nauczycielka była smutna i miała skonsternowaną minę, bo nie zachwyciła swoją osobą nawet czarnego wodza... Była pogardzoną przez czarnego naczelnika, więc odczuła to boleśnie... Każdą pogardę odczuwa się bardzo boleśnie... Kobieta odczuwa to specjalnie...

Kiedyśmy w beztroskiej rozmowie siedzieli po kolacji na werandzie z przepięknym widokiem na jeziora, rozciągające się w dali, usłyszeliśmy znowu charakterystyczne człapanie czarnych. Naczelnik Chia-Bada na czele swej straży przybocznej oraz w towarzystwie młodego tłumacza znów zawitał do mnie, wypytując znowu od początku o zdrowie moje, żony, o kozy, dach na domu, czy przypadkowo nie przecieka i t. d. Nic z tych pytań nie uronił... Potem tłumacz, stojąc przy boku wodza, odezwał się: „Chia-Bada już teraz wie, że się u was kobiet nie kupuje, lecz się niemi obdarowuje... On Ci daruje trzy piękne, młode i grube kobiety... Ale za te trzy masz mu dać tylko jedną jedyną białą kobietę... Tą, albo z niebieskiemi kamieniami w głowie, albo z czarnemi perłami... Jeżeli Ty tego nie uczynisz, nie jesteś jego przyjacielem i Chia-Bada, władca mój, musi wypowiedzieć Ci wojnę..."

Gdy takie groźby rzucał młody tłumacz w imieniu swego władcy, Chia-Bada postawił przedemną trzy młode i urodziwe czarne kobiety, począł je klepać po biodrach, poobracał je przedemną naokoło, aby mnie przekonać, jaki to jest dobry towar i w tem przypuszczeniu, że już teraz wszystko będzie w porządku...

No, co będzie? — pomyślałem, zdając sobie sprawę z tego, że w przyjaźni ci czarni są bardzo dobrymi ludźmi, ale biada temu, kto się im sprzeciwi.

Teraz ja się począłem dopiero skrobać za uchem, jak przed południem Chia-Bada.

— Dlaczego koniecznie pragniecie białej kobiety, gdy macie tak piękne czarne? — rzucam pytanie w stronę Chia-Bady.

— Chciałbym mieć białego syna — odpowiada z rozczuleniem naczelnik — Bo biali ludzie znają czary, oni potrafią deszcze ściągać z nieba, umieją chorych uzdrawiać, a wśród nas nikt nie zna tego... Dlatego chciałbym mieć białego syna...

— Ja nie mam żadnej władzy nad temi białemi kobietami i dlatego nie mogę ci je podarować — próbuję spokojnie wyjaśnić czarnemu naczelnikowi, choć po mnie przeciągało zimno i gorąco w trakcie tego handlu.

Groźnie spojrzał Chia-Bada w stronę białych kobiet.

— Naprawdę, Ty nie masz nad niemi żadnej władzy!?! — zapytał Chia-Bada — Czy one nad Tobą mają władzę!?!

— Tak! — Odrzekłem.

— Czy one może Cię zaczarowały?

— Tak! Zaczarowały — odpowiedziałem z powagą.

— Czy Ty musisz wszystko czynić, co one każą?

— Tak, Chia-Bada! Tak! My to musimy czynić, co białe kobiety rozkażą.

— O Ty biedny, biedny biały człowieku!?! — litował się nademną naczelnik Chia-Bada, odwracając płochliwy wzrok od białych kobiet — O hia wia szaj! Hia wia szaj! — wykrzykiwał w swojem narzeczu, biadając nad swoją nieszczęsną dolą — Uchroń mnie Boże od czegoś podobnego! — oznaczałoby w naszym języku.

Potem Chia-Bada zagwizdnął na swoich ludzi, czarni porwali za dzidy i tarcze i poczłapali dalej. Ale trzy dziewczyny, które przywiedli dla mnie, pozostawili na miejscu.

Gdy na drugi dzień zawiadomiłem ich, żeby sobie je zabrali, Chia-Bada, kazał mi donieść, że rezygnuje z nich na moją korzyść.

Trzy czarne boginie pozostały w naszym domu i zamieniły się w wierne i dobre służące.

Mojego dzielnego sąsiada Chia-Badę muszę zawsze mile wspominać... Wolał zrezygnować z pożądania białej kobiety i posiadania białego syna, któryby czary znał, deszcz mu ściągał z nieba, chorych uzdrawiał, ale Chia-Bada nie dał sobie naruszyć swej wolności i władzy suwerennej nad kobietą... Jego poglądy, choć nieco odmienne od naszych, zawierają w sobie także właściwy sens...

Górny Śląsk / Perła w koronie Rzeczypospolitej

Czasopismo „Polacy w całym świecie" ujrzało światło dzienne w Król. Hucie, w sercu okręgu przemysłowego Górnego Śląska. W naszem słowie wstępnem mówimy o tem, że Polacy poza granicami Polski będą mogli za pośrednictwem „Polaków w całym świecie" otrzymywać wiadomości nietylko o wychodźtwie, ale również o kraju macierzystym.

Skoro pismo „Polacy w całym świecie" wychodzi z Górnego Śląska, jest rzeczą zrozumiałą, że wypada, mówiąc o Polsce, najprzód rozpocząć od Górnego Śląska, tej perły w koronie Rzeczypospolitej.

W pierwszym zeszycie zamieszczamy kilka fotografij ze Śląska — tak z okręgu przemysłowego, jak i powiatów rolniczych oraz Śląska Cieszyńskiego — oraz opis historyczny „Z dziejów Śląska", napisany przez znanego popularyzatora Górnego Śląska, red. Alojzego Macha z Katowic, którego odczytów propagandowych w sprawie Górnego Śląska wraz z ilustracją filmową słuchały już i jeszcze słuchają garnizony wojskowe oraz młodzież nieomal w każdem mieście i miasteczku na terenie całej Rzeczypospolitej.

Po zakończeniu w następnym zeszycie opisu historycznego „Z dziejów Śląska", omówimy okres plebiscytu i powstań, a potem przejdziemy do rządów polskich na Śląsku, do tego wielkiego dorobku, jaki mamy za rządów polskich w budownictwie, szkolnictwie i t. p.

Ponieważ rządy obecnego wojewody śląskiego, dr. Michała Grażyńskiego, trwają od roku 1926, okres ten będzie należał do najbardziej twórczych i owocnych. Skoro „Polacy w całym świecie" idą na cały świat, wśród wszystkie skupienia polskie zagranicą, sprawy śląskie omówimy krótko, ale sumiennie a przytem barwnie. Nie zapomnimy również o wyjaśnieniu znaczenia Górnego Śląska dla mocarstwowego rozwoju Państwa Polskiego, oraz w przyszłości wiele miejsca poświęcimy śląskim zagadnieniom gospodarczym.

Redakcja.

Z Dziejów Śląska

Nazwa Śląska pochodzi od rzeczki Ślęzy (po niemiecku Lohe) w okolicach Wrocławia, natomiast Niemcy — *dla znanych celów* — chcieliby wyprowadzić nazwę Śląska od jakiegoś *germańskiego szczepu Silingerów w okolicy Sobótki.* Wszystkie ludy które dziś Europę zamieszkują, w czasach, gdy prowadziły życie koczownicze, posuwały się od wschodu ku zachodowi. *Skoro wspólną ich ojczyzną była Azja, mogli kiedyś i przez Śląsk przechodzić jacyś Silingerowie. Jednak o prawach historycznych do ziemi stanowi nie to, kto przez daną ziemię przewędrował, ale fakt, kto ją z pierwotnej puszczy przekształcił na rolę, t. j. osiadł na niej na stale, po włożeniu ogromnego nakładu pracy w wykarczowanie lasów. Tę pracę na Śląsku wykonali nie Niemcy, nie oni byli pionierami kultury na Śląsku i nie im ten kraj zawdzięcza cały swój rozwój.*

Ziemia śląska — od założenia państwa polskiego — *była jedną z najgłówniejszych jego dzielnic.* Narówni z ziemią Polan — *późniejszą Wielkopolską* — oraz z ziemią Chrobatów — *późniejszą ziemią krakowską* — Śląsk był filarem państwa pierwszych Piastów, *był częścią Polski i to częścią tak zrośniętą z całem państwem, iż nie można mówić o dziejach Śląska, nie mówiąc tem samem o dziejach Polski, których Śląsk był kolebką. Najważniejsza wówczas praca kulturalna, wykarczowanie obszarów leśnych dla uprawy roli, dokonały siły naszych praojców i w pracy tej Niemcy żadnego udziału nie brali. Śląsk jest odwieczną ziemią polską.*

Tutaj była — jak mówią stare kroniki — *Stara Polska,* tutaj pod naporem Czechów złączonych z Niemcami życie patrjarchalne przeobrażało się w państwowe, *by już w wieku X zjednoczyć się z Wielkopolską i wraz z nią utworzyć państwo polskie.* Historycy niemieccy w wieku IX opisują, że już w tych czasach Śląsk dzielił się na trzy części: *Śląsk Górny ze stolicą w Opolu, Śląsk Środkowy ze stolicą we Wrocławiu i Śląsk Dolny z ogniskiem w Głogowie.*

W roku 966 przyjął Śląsk wiarę chrześcijańską równocześnie z Wielkopolską, a Bolesław Chrobry w roku 1000 założył we Wrocławiu biskupstwo, podległe arcybiskupowi gnieźnieńskiemu. *W czasach, gdy na Śląsku dokonywała się praca karczowania lasów i przerabiania ich na rolę, t. j. w ciągu XI wieku, w Europie przodowała kultura romańska, to też Polska pierwszych Piastów narówni z Niemcami czerpała cywilizację ze źródeł romańskich, t. j. Włoch i Francji. Zresztą ówczesna Polska, której Śląsk był cząstką, wcale nie sąsiadowała z Niemcami, bo od ówczesnych Niemiec oddzielała ją szeroka połać ziem zamieszkałych przez ludy słowiańskie, a dziś zupełnie zniemczonych — rozpoczynając od Pomorza a kończąc na Łużycach i Miśnji (Meissen). To też w pierwszych klasztorach w Polsce piastowskiej więcej było mnichów Francuzów i Włochów niż Niemców.* Wiadomo np. o św. Stanisławie, że bibljotekę sprowadzał z Francji, a najstarsze pomniki budownictwa na ziemiach polskich są pomnikami stylu romańskiego a nie niemieckiego. Dopiero od połowy wieku XII, a zwłaszcza w wieku XIII, wpływ kultury romańskiej ustępuje wpływom niemieckim, *gdy w ciągu dwuch stuleci zdołali Niemcy wynarodowić szczepy słowiańskie, między nimi i Polską — czyli Śląskiem — zamieszkałe.*

Równocześnie udało się im wynarodowić słowiańskie Pomorze nadodrzańskie, a ziemie słowian zachodnich przekształcają na *marchje. W ten sposób fala naporu germańskiego podeszła pod Śląsk i poczęła jego ziemie podmywać. „Drang nach Osten" podchodzi wtedy do Odry, ale na niej się zatrzymuje — na prawy brzeg nie przechodzi. Brzegi Odry stanowią naturalną tamę dla naporu niemieckiego.*

Miejsca dogodne dla przeprawy istnieją tylko w Krośnie, w Głogowie i we Wrocławiu. *Grody te umacnia Bolesław Chrobry, a we Wrocławiu zakłada biskupstwo.* Wytworzenie we Wrocławiu ogniska administracyjnego i kościelnego, oraz położenie tego miasta nad najważniejszem miejscem przeprawy przez Odrę, sprzyja jego rozwojowi i wysuwa Wrocław na stanowisko dzielnicy śląskiej. W testamencie Władysława Hermana, króla polskiego, *w roku 1102 miasto Wrocław wymienione jest narówni z Krakowem, jako jedno z najważniejszych miast Polski, zaś Bolesław III Krzywousty w roku 1138, oddając Śląsk swemu najstarszemu synowi i następcy we władanie, zaznacza w testamencie, że dlatego Śląsk najstarszemu się należy, bo jest to dzielnica, która innym dzielnicom Polski przoduje zamożnością i zaludnieniem.*

Śląsk był związany z resztą ziem polskich licznemi węzłami. Dość powiedzieć, że *biskupstwo wrocławskie było sufraganją gnieźnieńskiego, to też synod archidiecezji gnieźnieńskiej w XIII stuleciu odbył się we Wrocławiu.*

Osiedlanie się Niemców na roli datuje się od połowy wieku XII. *Pierwszych osadników niemieckich sprowadziły klasztory na Śląsku, które były filjami kongregacyj niemieckich. Napływ osadników staje się źródłem dochodów dla szkatuły książęcej, za przywileje osadnicze książęta pobierają opłaty.*

W pełni pracy kulturalnej i gospodarczej, która tak świetne wydaje wyniki, spada na Polskę, a w pier-



Fot. M. Steckel, Katowice

Uroczy krajobraz z Tych w powiecie pszczyńskim na Śląsku. Charakterystyczną cechą krajobrazu w tym powiecie są ogromne lasy, ciągnące się na olbrzymich przestrzeniach. — Dopełniają obrazu obszerne stawy, podmokłe nieraz łąki i grunta uprawne, oraz rozrzucone w północnej części powiatu kopalnie węgla, tworzące jakby wysunięte forpoczty kroczącego naprzód przemysłu górniczego.

wszej linji na główne jej dzielnice — Śląsk i ziemię krakowską — *okropny cios w postaci napadu Tatarów w roku 1241. Całe obszary, ludne i dobrze zagospodarowane, wyludniają się zupełnie. Cały ustrój gospodarczy ulega wstrząśnieniu. Największe bogactwo kraju — wykarczowane pola — leżą odłogiem. Wobec tego otwierają się drogi dla osadnictwa niemieckiego.* Przybysze z Niemiec nie szukają lasów, aby je karczować pod pług, bo ziemia orna leży odłogiem. Wystarczy ją zaorać i obsiać, aby rodziła i dawała plony.

Ten silny napływ osadników niemieckich dotknął prawie wyłącznie obszary na lewym brzegu Odry — aż po Brzeg. Ten „*Drang nach Osten*" na ziemie polskie nie ogranicza się do osadnictwa rolnego. *Fala osadnictwa niemieckiego posuwa się do miast.*

Niemieccy przybysze chętnie przybywają *do Polski, jako do kraju przez naturę lepiej wyposażonego, przytem mogą tu liczyć na dobre przyjęcie i poparcie władzy książęcej. Polityka książąt polskich na Śląsku wobec osadników niemieckich odznacza się słabością i wogóle brakiem zrozumienia dla niebezpieczeństw, jakie mogą wyniknąć dla kraju w związku z rozpanoszeniem się napływowego żywiołu.* Książęta śląscy *wbrew interesom kraju*, popierają napływ osadników, *bo za udzielone przywileje otrzymują wysokie opłaty. Obok książąt bogate klasztory niemieckie, posiadające swe filje na Śląsku, przez stosunki swe z dworami książąt prowadzą istną propagandę w celu opanowania krainy śląskiej.*

Pod ich opieką i osłoną przybysze z zachodu poczynają występować zaczepnie wobec ludności polskiej: wydaje im się, że tu oni już są gospodarzami. „*Drang nach Osten*" odbywa się bez przelewu krwi przy pomocy chciwości książąt i klasztorów, które są filjami klasztorów niemieckich.

Wkrótce książęta polscy znikną z powierzchni Śląska, oddając na łup germanizacji ziemię śląską, *Starą Polskę*, a obok tego klasztory będą przodować w parciu na wschód, aż do naszych czasów. Wszak na oczach naszych w Panewniku pod samemi Katowicami w roku 1908 stanął wspaniały klasztor O. O. Franciszkanów, by odciągnąć pielgrzymki ludu polskiego ze Śląska do Częstochowy, Krakowa i Kalwarji, by „*Drang nach Osten*" nie zatrzymał się, nie ustawał, by posuwał się hen, hen w głąb ziem polskich, po Częstochowę i Kraków, a potem dalej i dalej...

Już w końcu wieku XIII arcybiskup gnieźnieński jako zwierzchnik diecezji wrocławskiej *wysyła skargi do Rzymu, w których zwraca się przeciwko niemieckim klasztorom na Śląsku, bowiem nie szanują praw krajowych i popierają przybyszów wbrew interesom ludności miejscowej.* W jednej ze skarg czytamy: „*Ludność napływowa niemiecka wypiera rdzenną ludność polską ze Śląska.*"

Tymczasem pomiędzy kupcami i rzemieślnikami, rolnikami i duchowieństwem ziemi poznańskiej, zwłaszcza krakowskiej, *coraz częściej spotyka się wypartych z ojcowizny Ślązaków.*

I poczęły mijać stulecia, w ciągu których Polska cała a z nią razem i Śląsk stają się rozdarte na części i cząsteczki, odpowiadające dziedzictwu królewskiej rodziny Piastów. Jedni książęta z rodu Piastów wła-



Fot. M. Steckel, Katowice

W powiecie pszczyńskim na Śląsku do dziś dnia zachowały się żubry

dają Śląskiem, inni zaś ziemią krakowską i wielkopolską. *Dzielono kraj cały, idąc śladem zwyczajów ówczesnych, pomiędzy synów i wnuków, wycinając z całości coraz to nowe księstwa i księstewka. Ten sam los spotyka ziemię śląską, następuje podział na cząstki i cząsteczki.*

Przy tych podziałach władanie ziemią krakowską uchodziło za tytuł zwierzchności nad innemi księstwami. Władającemu ziemią krakowską księciu przysługiwał tytuł króla, a Kraków był uznany za stolicę całości. Piastowicze śląscy jednak najwcześniej z pod tego tytularnego zwierzchnictwa się wyłamali, uważając, że Śląsk jako najstarsza dzielnica Polski większe miał prawa od innych do zatrzymania przednictwa przy sobie. Gdy dzielny książę krakowski, Władysław Łokietek, jako król polski, rozpoczął dzieło zcalania rozszczepionych dzielnic w jedną całość państwową, a po nim Kazimierz Wielki dzieło to dalej prowadził i Polsce jedność państwową przywrócił, Śląsk na uboczu pozostał.

Przychodzi tragiczny rok 1335, w którym Kazimierz Wielki podpisuje akt wyrzeczenia się swych praw do tej najstarszej dzielnicy Polski. W tym tragicznym roku związek Śląska z resztą państwa zostaje ostatecznie zerwany. Śląsk idzie na wiekową poniewierkę do Czechów, Austrjaków, a wkońcu Prusaków. Dzieło zjednoczenia Polski zostało dokonane, ale bez Śląska. Śląsk został przez Kazimierza Wielkiego poświęcony na wysługiwanie się obcym, aby reszta ziem polskich mogła istnieć niezależnie. Na mocy aktu zawartego z Kazimierzem Wielkim, królowie czescy, *którzy mieli większą siłę do zagarnięcia spadku*, stają się zwierzchnikami książąt śląskich. Ale stosunek Śląska do Czech pozostaje luźny i powierzchowny. *Książęta śląscy utrzymują własne wojska, biją własną monetę, pobierają podatki i cła do własnej szkatuły. Ludność polska na Śląsku nie odczuwała wtedy tego odchylenia się książąt śląskich od Polski w stronę Czech.* Dopiero później poczęły pokazywać się skutki, gdy Polska doszła do wielkiej potęgi i dobrobytu, natomiast ludność polska na Śląsku Dolnym i Środkowym została wynarodowiona, a na Górnym Śląsku poczynają ją nawiedzać wielkie klęski.

Od roku 1474 do 1490 Śląsk należy do Węgier. Do roku 1526 panują w Czechach, a tem samem na Śląsku, dwaj królowie z polskiego królewskiego rodu Jagiellonów, Władysław i Ludwik. Po nich na tron czeski wstąpił król Ferdynand z austrjackiego domu Habsburgów. Odtąd Śląsk należy do Austrji. *W tym okresie książęta polscy na Górnym Śląsku wymarli: najprzód raciborscy, potem bytomscy, później kozielscy, niemodlińscy i inne drobniejsze gałęzie. Ostatni książę opolski Jan, który zjednoczył prawie cały polski Górny Śląsk w swem ręku, umiera w roku 1532. Książęta cieszyńscy wymarli w roku 1601 i byli na Śląsku Górnym ostatnimi Piastami.* Majątki i prawa wymarłych książąt naszych przechodziły w ręce monarchów zwierzchniczych, *a więc królów czeskich lub cesarzów austrjackich, którzy albo je sprzedawali, albo wydzierżawiali lub darowali innym panom, albo też zachowali dla siebie. Tym sposobem w różnych okolicach Śląska*



Fot. M. Steckel, Katowice

Gdybyśmy z lotu ptaka rzucili okiem na powierzchnię dzisiejszego Województwa Śląskiego, przedstawiłaby się ona nam jako bardzo urozmaicona płyta, silnie podniesiona na południu i nastroszona garbami Beskidów Śląskich, przerwanych wypadającemi z nich strumieniami górskiemi, na północy zaś wyciągają się w lekko pomarszczony płaskowyż zielony na szerokich krawędziach łąkami, polami i lasami, a w środku przecięty szarym i czarnym pasem śląskiego przemysłu. Nagłe objęcie całości dałoby nam wrażenie silnych kontrastów, stworzonych przez przyrodę, częściowo przez niestrudzoną pracę człowieka, który wżarł się tu w głąb ziemi, zasnuł powierzchnię nieskończonemi wałami hałd i dziur, a błękit nieba zbrudził chmurami dymu fabrycznego. Najpiękniejszą jest południowa część Województwa Śląskiego, przypadająca na obszar Beskidów Śląskich. Oto obraz z uroczych Beskidów. Śnieg już pokrył wierzchołki gór.

poczynają rządzić książęta i nowi panowie pochodzenia niepolskiego.

W roku 1618 następują spory i zatargi religijne w Niemczech, które doprowadzają do wojen, przeciągających się przez całe 30 lat aż do roku 1648. Wojny te pustoszą Śląsk okropnie, niszczą liczne wsi i miasteczka, *wiele ludności wiejskiej i miejskiej uchodzi do Polski.* Księstwo Opolsko-Raciborskie w ostatnich czterech latach wojny dostaje się w dzierżawę króla polskiego Jana Kazimierza i tym sposobem uchroniło się od dalszego zniszczenia. *W roku 1740 umiera cesarz austrjacki Karol VI, a rządy po nim objęła córka jego Marja Teresa. Wówczas król pruski Fryderyk II. — zwany później Wielkim — postanowił Śląsk sobie przywłaszczyć.*

W grudniu tegoż roku, głosząc, że przychodzi w charakterze przyjaciela Marji Teresy, przekracza na czele wojska granice Śląska, aby dla niej Śląsk zachować i uchronić od nieprzyjaciół. *Ta wyprawa rabunkowa powiodła się Fryderykowi bez trudu.* Po kilku bitwach, stoczonych z różnem powodzeniem, Marja Teresa, zawikłana wówczas w inne jeszcze wojny, była zniewolona zawrzeć pokój z Fryderykiem II, *odstępując mu prawie cały Śląsk. Aby uniknąć głodu i innych niebezpieczeństw, ludność polska ucieka ze spustoszonych wsi i chroni się do Polski. Właściciele ziemscy, aby zagospodarować spustoszone swe majątki i podołać wydatkom, wkładają na przerzedzony lud o wiele większe robocizny pańszczyźniane, a Fryderyk II. sprowadza ze wszech stron wielkie ilości Niemców, by rozsiać ich na całym Śląsku.* Zachęcają go do tego słowa generała Schwerina, który, po zagarnięciu Śląska przez Fryderyka II. drogą przemocy i podstępu, powiedział: „*Cały lud na Górnym Śląsku jest zaprzysiężonym wrogiem Waszej Królewskiej Mości.*“ *Tak więc przez ręce Czechów, Węgrów, Austrjaków przechodząc, dostał się Śląsk do rąk Fryderyka II, króla Prus.* Gdy Fryderykowi zwracano uwagę, że, chcąc Śląsk zagarnąć, trzeba będzie prawnie uzasadnić słuszność tego czynu, wyrzekł z całym cynizmem: „*Historycy są od tego przecież, aby mi moje prawa do tej zdobyczy pięknie wyprowadzili, ale wtedy to zrobią, gdy Śląsk będę miał w swojej mocy*“.

W wieku XVIII, gdy Śląsk przeszedł pod rządy pruskie, żywioł polski był jeszcze bardzo silny w południowej części kraju. *Po polsku mówił cały lud wiejski i znaczna część mieszczaństwa. W roku 1764 w Gliwicach byli jeszcze nauczyciele, którzy wcale języka niemieckiego nie znali. Jednak Fryderyk II, energicznie zabrał się do szerzenia germanizacji, a jego następcy w tępieniu polskości na Śląsku nie ustają. Miasta w całym kraju ulegają stopniowej germanizacji, ślady po szlachcie polskiej znikają.* Na Dolnym Śląsku w stronach przeważnie ewangelickich, *żywioł polski został zupełnie złamany. Za pruskich czasów znikają szczątki polskich osad w okolicach Wrocławia w powiecie zielonogórskim, trzebnickim, milickim i oleśnickim.* Natomiast twardo trzyma się przy mowie ojców lud wiejski na Górnym Śląsku.

Ale biskupstwo wrocławskie, roztaczające swą władzę kościelną nad Górnym Śląskiem, *oddało się rządowi za narzędzie do wynaradawiania. Na życzenie rzą-*



Niechaj pismo „Polacy w całym świecie" zdobędzie serca wszystkich rodaków!
Helena Lipowska
11/I 1932 r.

Sukcesy uroczej Heleny Lipowskiej w kraju i zagranicą

Polacy poza granicami kraju, od czasu do czasu mają sposobność radować się występami znakomitej śpiewaczki polskiej Heleny Lipowskiej, primadonny opery warszawskiej i lwowskiej. Urocza śpiewaczka niejednokrotnie odniosła wielkie sukcesy zagranicą.

Entuzjastycznie przyjmowane jej występy robią polskiej sztuce na terenach zagranicznych najlepszą propagandę.

Po lipcowych sukcesach w Czechosłowacji, gdzie między innemi śpiewała w „Halce" i „Strasznym Dworze", znakomita śpiewaczka wyjechała do Sztokholmu na zaproszenie tamtejszych sfer artystycznych.

Jej koncerty sztokholmskie zyskały sobie wielkie uznanie prasy, która podkreślała niezwykle przychylnie zarówno doskonałą szkołę naszej śpiewaczki, jak i dobrany jej polski program z arjami oper moniuszkowskich na czele.

Obecnie bawi Helena Lipowska w kraju, zyskując sobie zgodne uznanie prasy i gorące przyjęcie u publiczności.

W ostatnich czasach raz w tygodniu przyjeżdża do Katowic, gdzie gości ze swojemi występami opera warszawska. Mimo kryzysu, gdy występuje Helena Lipowska, miejsca w Teatrze Polskim w Katowicach są zawsze wysprzedane do ostatniego.

du pruskiego kurja biskupia ogłosiła przepis o wyłącznem piastowaniu godności proboszcza przez księży, znających język niemiecki. W roku 1787 ten sam urząd zupełnie samorzutnie napomina proboszczów do troskliwego pielęgnowania niemczyzny. W dwa lata później minister Hoym pod pozorem szerzenia w kraju polskim „*wyższej kultury*" nakazuje przeniesienie polskich proboszczów do Niemiec, *a sprowadzanie na ich miejsce germanizatorów ze Śląska Dolnego.*

Położenie ekonomiczne ludu polskiego stało się szczególnie ciężkie od czasu, gdy panująca warstwa obszarników niemieckich powiększa kosztem posiadłości włościańskich swoje majątki. *Naprzykład w powiecie lublinieckim w roku 1767 było 885 gospodarstw, w roku 1817 już tylko 461.* Pańszczyznę na rzecz niemieckich magnatów do tego stopnia podwyższono, że chłopi często musieli pracować na obcej roli od 5—6 dni w tygodniu, by własne gospodarstwa zaniedbywać. *Nieznośny ucisk powodował często ucieczkę chłopa górnośląskiego do Polski.* Wreszcie nieustające nadmierne robocizny dały powód chłopom powiatu pszczyńskiego do zorganizowania oporu w roku 1780. Opór ten jednak rząd pruski krwawo stłumił wysłaniem ekspedycji karnej. *W latach następnych powtórzyły się rozruchy ekonomiczne w powiatach kluczborskim, prudnickim, namysłowskim, opolskim i raciborskim. Uśmierzono je batogiem, więzieniem i konfiskatą gruntów.*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MEKSYK / KRAINA WIECZNEJ REWOLUCJI

Według opisów podróżnika prof. Józefa Stankiewicza, przebywającego obecnie w Paryżu

Długo jechaliśmy na mułach poprzez lasy dziewicze i zatrzymaliśmy się w wiosce Indiosów, oddalonej od świata i wszelkiej kultury. Naraz zaintrygowały nas gdzieś z pobliża wydobywające się miarowe stuki... Cóż to? Czyżby maszyna do pisania, tu wśród lasów dziewiczych!?! Szliśmy za tym dziwnym głosem i wreszcie zatrzymaliśmy się... Dwie kobiety wiejskie przykucnięte do ziemi uklepywały placki z kukurydzy... Tym miarowym klepaniem ubijały je, piekąc je później na rozżarzonych węglach.

Ale nie byłoby czemś niezwykłem, gdyby i tu, wśród dziewiczych lasów, znalazła się maszyna do pisania... Bo w Meksyku w każdej wiosce i mieście — nawet pod gołem niebem — znajdują się biura pisania na maszynach, w których za umiarkowaną cenę każdy list przepiszą lub przeczytają. Jest to błogosławieństwem dla mieszkańców, którzy — mimo wielkiego przymusu ze strony władz państwowych — w przeważającej mierze ciągle pozostają analfabetami.

Państwo i jego organa nie cieszą się posłuchem w tym kraju. Przed 5 laty został założony „Bank Meksyku", który wydał banknoty, mające pełne pokrycie. Niestety, mieszkańcy nie dali się do nich przekonać. Przyczyniły się do tego masowe fałszerstwa oraz ta okoliczność, że każdy rząd, który przychodził po każdej rewolucji, unieważniał banknoty swego poprzednika. Srebro i złoto, mimo swego ciężaru i niewygody w posługiwaniu się nim w stosunkach handlowych, okazało się stanowczo pewniejsze. To też domy handlowe nie posyłają do „Banku Meksyku" po banknoty, ale przy wszelkich rozrachunkach posługują się specjalnymi posłańcami i ładują srebro i złoto do worków. Tacy posłańcy są osobliwością tej części miasta, w której się znajdują banki. W wielkiem mieście naogół osobliwości kraju nie rzucają się tak w oczy, jak w małych osiedlach w głębi kraju. Wielkie miasto ma charakter międzynarodowy, w szczególności takiego kraju emigracyjnego, jakim jest Meksyk.

Ale już wyjazd koleją na odległość pół godziny drogi od stolicy wprowadza nas do prawdziwego Meksyku. Jest tu wszystko jednym barwnym jarmarkiem. Wokoło budy i biegający handlarze, tu wędrowny fryzjer goli i strzyże na środku ulicy, tam handlarze ptactwa w nieopisanie wielkich klatkach, przynieśli „swój towar" do wielkiego miasta... A między tem wszystkiem żebracy robią sobie reklamę. Jeden z nich wkłada swój kapelusz na kij, aby tym sposobem zwrócić na siebie uwagę zbliżającego się auta i swoją jałmużnę wyżebrać.

O utrzymanie czystości ulic troszczą się jedynie ptaki, żywiące się padliną. Przedewszystkim sępom i ich żarłoczności zawdzięczają miasta meksykańskie, że cholera i wszelka inna zaraza nie może się tam rozpowszechniać z taką siłą, jakby się to działo, gdyby tych drapieżników nie było. To też sępów tych strzelać nie wolno, bo są one uważane przez mieszkańców za swego rodzaju błogosławieństwo kraju.

Oto dopiero kilka osobliwości Meksyku, oprócz oczywiście olbrzymich słomianych kapeluszy, lassa do chwytania bydła, no i wiecznych rewolucyj. Barwny jest ten kraj, kraina rażących kontrastów. Indiosi w jaskrawych narodowych strojach, ale w modnych pojazdach, strażacy z gaśnicami na ramionach idą ze służby do domu. Wszędzie, w najmniejszej wiosce, w najodleglejszem osiedlu, można natrafić na oznaki zdobyczy kultury amerykańskiej i na gramofon i maszynę do szycia.

Jak w Stanach Zjednoczonych, również i w Meksyku sprzedaż aut z drugiej ręki jest uważana za najlepszy interes. Gdy domy towarowe nagromadzą dostateczną ilość aut, wtedy urządza się licytacje. Wielkie reklamy zawiadamiają publiczność i obiecują nabycie bajecznych wozów za śmieszną wprost cenę. Gdy przychodzi dzień licytacji, na wysokim stole w otoczeniu asystentów zasiada licytator, a wokoło niego stłoczone setki samochodów nawet dobrych marek oczekują w rzędach na swoją sprzedaż. Kupujących zazwyczaj mało, zato wiele gawiedzi. Licytator wy-



„Hale targowe" na ulicach stolicy Meksyku

wołuje markę auta i cenę. Z publiczności podnosi się głos: „50 pesos". To nie jest za dużo... Ale nikt więcej nie daje... Licytator chwilę czeka, a potem daje odpowiedni znak szoferowi. Ten zakręci korbą, wsiada do auta i odjeżdża. Nagle w czasie jazdy wyskakuje, auto pędzi bez kierowcy na złamanie karku, a gawiedź cieszy się tym widokiem. W ten sposób ulegnie zniszczeniu jeszcze około 25 wozów, bo zamałe sumy za nie ofiarowywano. Publiczność przekonywuje się, że za tak niską cenę aut nie nabędzie, więc ceny podnosi i auta kupuje. Licytacje z takiemi pomysłami i z takim temperamentem mogą się odbywać tylko w Meksyku, w tym kraju wszelkich możliwości.

JEDEN JARMARK

Właściwie cały Meksyk jest jednym jarmarkiem. Liczba ulicznych handlarzy jest niezliczona. Na każdym rogu, w każdym kącie i na każdym placu stawiają swoje budy i w niedającym się opisać potoku słów zachwalają swój towar. Co oni sprzedają? Właściwie wielkie nic, ale za taką cenę, iż przechodnie zapytują z ciekawości, kto to ma kupić.

Przeważnie są to handlarze owoców, co nie jest dziwne w tym kraju owoców. Owoców nie sprzedaje się tu, jak np. w Polsce, na funty albo kila, lecz na sztuki i według pieniądza. 5 sztuk za... pięć centavos, 10 sztuk za... dziesięć centavos. W domach przygotowane owoce leżą na matach z konopi. Kobiety lub mężczyzni siedzą pod płachtami, chroniącemi ich od żaru słońca, palą cygara i segregują swój dobytek. Kupujący bierze sobie kupkę owoców, które chce nabyć, i bez słowa kładzie za nie należność. Targować się można i uchodzi to nawet za rzecz honorową, ale tylko przy wielkich zakupach. Np. gdy się chce nabyć cały sznur bananów, albo kilka tuzinów ananasów... Wtedy całemi godzinami wolno się przegadywać, a gdy kupiec nie otrzyma żądanej ceny i towaru nie sprzeda, oznacza to, że jest złym kupcem. Ale i w tym wypadku nie traci uprzejmości, a nawet wskazuje na piękny towar konkurencji. Chce zawsze pokazać, że jest człowiekiem obytym i dobrze wychowanym. Godnymi uwagi są sprzedawcy cukrów i lodów i ci panują na targach w szczególności w zachodniej najbardziej gorącej części kraju. Z trzech lub czterech oczywiście nigdy niemytych szklanek sprzedają szacowny winny płyn. Nie jest to hygjeniczne, ale zato zimne, a to jest najważniejsze, bo w czasie upałów... na nic więcej uwagi się nie zwraca.

W wielkich miastach, jak w Guadalajara lub Puebla, znajdują się olbrzymie bloki żelaznej konstrukcji, przeznaczone na hale targowe. Ale wokoło nich jak w wioskach stoją w niezliczonej liczbie budy handlarzy. A muchy, zwabione zapachem spożywczych artykułów, obsiadują mięso, ser, owoce, by potem z temi zapachami unosić się w obłoki. Obok wypieka się różnych gatunków torty i ręką wyklepywane placki kukurydziane, ozdabiane bobem, różnemi bakaljami i oblewane wrzącym tłuszczem. Tu Indiosi spożywają swoje obiady tak mocno pieprzone, że dla europejczyka są one nie do spożycia. Ale Indiosowi smakują wyśmienicie i każdy z nich jest najlepszą reklamą dla chilijskiego pieprzu.

TROSKI PANI DOMU

Gdy pani domu np. w Warszawie ułoży sobie menu na środę, składające się z rosołu, pieczeni cielęcej i kompotu, to z tych dań obiad będzie się składał... Ale nie w Meksyku. Pieczeni cielęcej prawie tam nie znają. Farmerzy, którzy hodują bydło, cieląt wcale nie zabijają, bo za krowę o wiele więcej dostaną. W sprzedaży widzi się tylko dwa gatunki mięsa: wołowe i wieprzowe. Oczywiście te gatunki mięsa są bardzo podejrzanej wartości. Meksykanin jest mało wybredny w jedzeniu... oprócz tego bydło jest chude, zaniedbane i źle karmione.

Cechą meksykańskiej kobiety jest to, że się potrafi od wszelkich obowiązków wywinąć. O dziewiątej rano idzie na targ, by poczynić zakupy. Mogłaby wprawdzie wysłać kucharkę, ale ta na to potrzebuje 3 albo 4 godziny czasu, towar przepłaci i przyniesie w najgorszym gatunku. To też pani domu zmuszona iść sama...

Na targu mięso wisi na sznurach, a słońce go praży... Na nim, na owocach, serze i t. d. miljony



Właściwie cały Meksyk jest jednym jarmarkiem. Liczba ulicznych handlarzy jest niezliczona. Na każdym rogu, w każdym kącie i na każdym placu stawiają swoje budy i w niedającym się opisać potoku słów zachwalają swój towar

much, które handlarz przy pomocy miotły z piór stara się przepędzić, ale daremnie...

Dlaczego pani meksykańska nie idzie do zamkniętego składu?

Bo w składach jest taka sama hygjena jak na targu z tą tylko różnicą, że na targu wszystko jest obok siebie, a w mieście trzeba biegać na wszystkie strony. Oprócz tego targami interesuje się policja i częściej je kontroluje. Wreszcie, gdy pani domu zdobyła właściwe mięso na pieczeń, gdy już ma jarzyny, których wybór w tym kraju jest bardzo mały — i parę kartofli w cenie... 3 sztuki za 10 centavos, udaje się do domu, by wraz ze służącą zabrać się do gotowania obiadu.

Służącej oczywiście nie zastała w domu... Jej wogóle nigdy niema, gdy jest potrzebna... W sypialni zaledwie jedno łóżko zaścielone, natomiast drugie nietknięte, woda niewyniesiona, szczotki na podłodze itd. Służąca znikła... Jest południe, a ona właśnie stale o tej porze odbywa randkę ze swoim ukochanym...

Dlaczego pani domu jej nie oddali?

Jest pewna, że następna będzie jeszcze gorsza i dłużej przebywać będzie ze swoim ukochanym...

O 3-ciej popoł. zjawia się służąca i zabiera się w pośpiechu do roboty... Mięso naprędce upiecze, kartofle ugotuje, zupy nie zrobi i obiad gotów... Meksykańska pani domu nawet w południe nie wie, co będzie na obiad, bo nie ma pewności, co kupi na targu... i co z tem zrobi służąca. Gdy obiad skończony, służąca i wtedy nie spieszy się z uprzątaniem mieszkania... Ona ma teraz spoczynek po obiedzie,... po przedpołudniowych trudach. Od 4—5 z zasady nic się tu nie robi... Dopiero o 5-tej zabierze się do zmywania naczynia i pościele łóżka... Na tem kończą się jej czynności... Kolację może sobie wielmożna pani sama zrobić,... bo służąca musi pójść do kina.

Służąca wogóle należy do największych kłopotów pani domu... Jej nic powiedzieć nie można, bo zabierze się i pójdzie, a następna będzie jeszcze gorsza... Natomiast nie trzymać służącej, jest w złym tonie... Druga troska, to bezgraniczna ciekawość domowników... i sąsiadów... Oni muszą wszystko wiedzieć, co się dzieje, ciągle muszą plotkować i wszystkiem się interesować... Służąca np. po pewnym czasie staje się tak bezczelna, że zaczyna do swoich państwa zwracać się przez ty. Trzecia troska — to ceny. Meksyk jest krajem, w którym każdy musi drugiego wyzyskiwać... Niezbędne artykuły są drogie i w najgorszym gatunku.

Jakże szczęśliwą jest polska kobieta, która pójdzie tylko do składu, służąca ją w każdej chwili wyręczy i ma w niej prawdziwą pomoc?

POLICJA...

Każdy właściciel składu spożywczego obowiązany jest zaopatrzyć się w świadectwo komisji zdrowotnej, która potwierdza, czy jest zupełnie zdrowy i czy nie ma zaraźliwej choroby. Wtedy dopiero jest mu dozwolone prowadzenie towarów spożywczych. Takie zaświadczenia o zdrowiu właściciela znajdują się w każdym składzie spożywczym, a policja zdrowotna patrzy sprzedawcom na palce.

Ale nie radzę wam spojrzeć na handlarza w małem miasteczku. Tu się kończy władztwo policji zdrowotnej. Miljony much bezkarnie obsiadują artykuły spożywcze, wszędzie odpadki na ulicach, a dzieci i psy w tem się bawią. Rozporządzenie, że np. mleko ma być pasterylizowanie tylko obowiązuje w stolicy!?! Z jakiej racji, gdzieś tam na odludnem osiedlu, mleko ma być pasterylizowane? Tam mają ludzie inne troski... Tam np. siedzi matka z dzieckiem na progu... Oczywiście nie opowiada mu bajek... Jej czynność jest inna, całkiem realna...



Nędza w Meksyku jest przerażająca... Straszne choroby dziesiątkują ludność... Ludzie mrą jak muchy... Przedewszystkiem zagłodzone, skrofuliczne dzieci... W składach z trumnami przeważnie można spostrzec trumienki dla dzieci...

Mimo tych licznych spluwaczek, które na zarządzenie policji sanitarnej znajdują się wszędzie, plucie na podłogę należy do dobrego tonu... Pod tym względem wszyscy w Meksyku zostali konserwatystami... Meksykanie do wszelkich zarządzeń policyjnych odnoszą się z uprzedzeniem i nieufnością... Ale np. policja sanitarna nie zniechęca się... Oczywiście niema jej tam, gdzie jest potrzebna, ale znajdzie się wszędzie, gdzie jest zbędna i niepotrzebna... Więcej interesuje się cudzoziemcami niż np. tyfusem plamistym i innemi epidemjami... O epidemje nie stara się, by zginęły, ale zawsze będzie gorliwa, gdy cudzoziemiec wkracza do Meksyku.

Zaginiona

Opowieść na tle przeżyć dr. Antoniego Lipowskiego w Anglji

Ostatnie promienie zachodzącego jesiennego słońca padały na olbrzymie miedziane wskazówki wieżowego zegara zakładu św. Jerzego. Zegar wskazywał kwandrans po piątej, kiedy dr. Anthony Lipowski, po zakończeniu wykładu z zakresu chirurgji, opuszczał gotycką bramę zakładu. Dzięki stosunkom ojca, który przybył do Londynu ze Lwowa, i osiadł tu na stałe, oraz swej wybitnej wiedzy, dr. Anthony Lipowski zajął wysokie stanowisko w angielskim świecie naukowym. Urodził się tu i wychował. Teraz gdy opuścił gotycką bramę zakładu, prędko rzucił wzrokiem wokoło, zapalił papierosa i lekkim krokiem skierował się na ulicę. Zdolności, wykazane w dzisiejszym wykładzie przez jego słuchaczy, napełniły go głębokiem zadowoleniem. Płynący wokoło niego ruch wielkiego miasta, dochodzące dźwięki muzyki, otaczająca go powódź różnobarwnych świateł, przelatujące auta i tramwaje w mgle jesiennego wieczoru, ten wielki pośpiech życia pociągał go każdym swoim atomem i zapełniał go rozkosznem upojeniem.

Dr. Lipowski był mężczyzną o wysokiej smukłej postawie, w tym wieku, w którym mężczyzna dochodzi do zupełnej równowagi, gdy wszystko już ma poza sobą, gdy widzi określone kształty wszelkich przejawów życia i nie patrzy już na życie poprzez mgły młodzieńczych porywów. W swoim 39 roku życia miał niewyczerpaną energję i pełną elastyczność myśli. Z jego podłużnej szczupłej twarzy, ocienionej czarnym wąsem, który mu nadawał trochę ponury wygląd, wyglądało dwoje ciemnych oczu o wybitnej dobroci i inteligencji.

Nad zielenią na skwerach unosiły się mgły i opary wieczoru, a gdy dr. Lipowski dochodził do Pont Street, ulice były już spokojniejsze i ciemne. W pewnem miejscu na jezdni leżał jakiś biały przedmiot o nieokreślonych kształtach i swoją białością zwracał na siebie uwagę. Lipowski przystąpił bliżej i podniósł go. Była to biała chusteczka zupełnie mokra. Już chciał ją odrzucić, gdy wtem zauważył postać kobiecą, która, oglądając się wokoło, czegoś szukała.

Z uprzejmym ukłonem zbliżył się do niej dr. Lipowski.

— Czy pani nie zgubiła tej chusteczki? — zapytał — Właśnie ją znalazłem.

Zagadnięta z widocznym przestrachem odwróciła się. W blaskach pobliskiej latarni ujrzał doktor bladą i delikatną twarzyczkę, z której patrzyły dwoje ciemnych oczu o zmęczonym i gorączkowym wyrazie. Dwie strugi łez płynące na policzkach przekonywały go, że to ona jest właścicielką tej mokrej chusteczki. Szybko podziękowała doktorowi, wzięła z jego ręki chusteczkę i szybkim krokiem poczęła uciekać wzdłuż ulicy.

Ze złośliwym uśmiechem spoglądał za nią dr. Lipowski. Był już na końcu Pont Street, gdy znowu ujrzał tę samą postać kobiecą. Stała teraz odwrócona do niego plecami, spoglądając uporczywie w okno ponurego domu.

Dr. Lipowski zatrzymał się. Obserwował jak dziwna istota pewnym i zdecydowanym krokiem weszła do bramy tego ponurego domu. Już myślał, że jej nie ujrzy, tymczasem znowu się ukazała i, opierając się o mur, wybuchnęła bolesnym płaczem.

Dr. Lipowski był czuły na każdą boleść. Przystąpił do płaczącej i dotknął jej ramienia. Ona wzdrygnęła się i spojrzała na niego. Kiedy go powtórnie ujrzała, na jej pięknej twarzy zjawił się wyraz nieokreślonego zdenerwowania.

Z uprzejmością uścisnęła jego rękę, robiąc przytem kilka kroków wstecz.

Czego sobie pan odemnie życzy? — zapytała ze szlochem — Co panu uczyniłam? Czyś pan przyszedł, aby także mnie męczyć? Jeżeli mi już nie dają spokojnie żyć, to niech mi pozwolą chociaż spokojnie umrzeć.

Przycisnęła dłonie do swoich błyszczących oczu i westchnęła głęboko. To znowu opadły jej ręce, to znów odrzuciła głowę w tył i zanim dr. Lipowski wypowiedział słowo, nieznajoma puściła się galopem w dół ulicy. W mgłach wieczoru widział doktor elegancką sylwetkę w modnie skrojonym kostjumie znikającą w oddali. Aby za nią podążyć, nie odczuwał najmniejszej chęci. Przypuszczał, że w tym wypadku gra główną rolę zawiedziona miłość.

Szedł powolnym krokiem i kierował się przez Kings Road w stronę swej dzielnicy, gdzie mieszkał przy Cale Street.

Dr. Anthony Lipowski mieszkał bardzo skromnie, bez komfortu, oddawał się badaniom naukowym i wiedzy, przytem był znanym filantropem i przeciwnikiem osobistego luksusu. W swoim pokoju, który mu służył i za pracownię, i za jadalnię i za sypialnię czuł się wygodnie i dobrze. Zwieszająca się lampa, ocieniona zielonym abażurem, rzucała łagodne swiatło na niemodne pluszowe meble i na prosty sosnowy stół nakryty białym obrusem, o którego czystość dbała właścicielka mieszkania poczciwa miss Saunders.

Stara i chuda i czarno ubrana miss Saunders była duszą tego mieszkania. W tym pokoju, który teraz zajmował dr. Lipowski, przez 30 lat mieszkała jej siostra, która przed dwu laty zmarła. Potem miss Saunders wynajęła ten pokój dr. Lipowskiemu, którego znała, gdy był chłopcem. I na tem dobrze wyszedł, bo stara miss bardzo dobrze go usługiwała i o wiele więcej mógł zaoszczędzić niż dawniej, gdy stale zmieniały się u niego gospodynie. Dawniej myślał, żeby się ożenić, ale dzisiaj, kiedy stara miss prowadziła mu tak dobrze jego skromne gospodarstwo, zaniechał tego.

Z uroczystem milczeniem — jak zawsze — stara miss sprzątnęła stół po jedzeniu i przyniosła gazety.

Uzbroiwszy swoje oczy w okulary, usiadła miss naprzeciwko doktora i spojrzała na niego pytająco. Zapadła uparta cisza, którą przerwała miss.

— Polityka? Sprawy lokalne? Czy telegramy? — zapytała.

Dr. Lipowski od pewnego czasu musiał oszczędzać swego wzroku, to też miss Saunders starała mu się wszystko przeczytać. Teraz zagłębił się w pluszowym fotelu, zapalił krótką fajeczkę i, otaczając się kłębami dymu, począł uważnie słuchać tego, co mu stara miss czytała.

Dziś nie chciał nic słyszeć o polityce, więc poprosił o lokalne wiadomości z „Evening Gazette". W czasie czytania jego impulsywna natura nie mogła się oprzeć temu, aby nie robić głośnych uwag i wykrzykników. W pewnym momencie, gdy stara miss czytała mu pewną wiadomość, przysłonił w zamyśleniu oczy i poprosił ją, by mu tę wiadomość jeszcze raz przeczytała. Stara miss ze zdumieniem spojrzała z poza okularów na doktora Lipowskiego.

— Ja myślę, że czytam dość wyraźnie — zrobiła zgryźliwą uwagę stara miss.

— Kochana miss Saunders! Uważam panią za perłę, ale ta wiadomość tak bardzo mnie interesuje, że chciałbym ją jeszcze raz usłyszeć. Więc proszę bardzo.

Ugłaskana tą pochwałą miss, z powagą poczęła czytać wiadomość, która brzmiała:

„22-letnia Isabel Taylor, która przy Pentonville Road prowadziła dobrze prosperujący zakład modniarki, od czwartku zaginęła bez śladu. Mieszkała u państwa Forth i była ogólnie ceniona i lubiana za swoje prowadzenie się bez zarzutu. Ponieważ była zbyt piękną i młodą, przytem dobrze sytuowaną, jest zupełnie wykluczone, by mogła popełnić samobójstwo. Raczej należy przypuszczać, że uległa jakiemuś wypadkowi. Ktoby coś o niej wiedział, niechaj o tem doniesie najbliższemu posterunkowi policyjnemu. Młoda dziewczyna jest wysoka, bardzo smukła, posiada ciemne oczy i włosy, a ubrana była w bardzo elegancki czarny kostjum. Prosimy przeczytać anons na stronie 11-tej tego numeru".

— Proszę — odezwał się Lipowski — Zobaczymy, co tam jest na stronie 11-tej.

Powolne przesuwanie kartek przez miss Saunders zniecierpliwiło go. To też poprosił o gazetę, którą stara miss oddała mu z niezadowoloną miną. Prędko znalazł wskazaną stronę i ogłoszenie na niej. Przy pierwszem spojrzeniu, wyrwał mu się okrzyk: „Ach! To ona! Zaraz przypuszczałem".

Zdziwiona stara miss spoglądała na niego.

— Cóżto? Zna pan tę nieszczęśliwą?

Lipowski wstał i, wskazując na fotografję, odezwał się: „To jest ta zaginiona, którą przed godziną spotkałem na Pont Street."

Z powątpiewaniem przypatrywała się stara miss niewyraźnej fotografji.

— Ależ, panie Anthony — zrobiła uwagę — Ta dziewczyna zaginęła w czwartek, a dziś mamy poniedziałek!?! W takim razie to nie może być ona.

Dr. Lipowski jeszcze raz przebiegł wzrokiem anons i odezwał się: „Niema żadnej wątpliwości. Proszę tylko czytać dalej".

„*Niezmiernie będę temu wdzięczny,* — czytała miss — *ktoby mi doniósł o miejscu pobytu mojej zaginionej narzeczonej, Isabel Taylor, która na Pentonville Road (Islington) miała zakład modniarski. Opuściła dom w czwartek i więcej nie wróciła. Pewne poszlaki wskazują, że zagadkowa ucieczka była spowodowana chwilowym rozstrojem nerwowym i jestem głęboko przekonany, że w tym wypadku jest zupełnie wykluczone samobójstwo, inny wypadek lub mord. Najpewniej gdzieś się ukrywa.. Może ktoś z podanej reprodukcji pozna ją i niżej podpisanemu cośkolwiek doniesie, za co mu będę bezgranicznie wdzięczny.*

Robert Coleridge
artysta-malarz
11 Pont Street IV
West-Brompton".

Składając gazetę, mówił do siebie Lipowski w zamyśleniu: „Biedny chłopiec. Niewiele mu brakowało, aby być zupełnie szczęśliwym."

Miss Saunders zdjęła okulary i schowała je do futerału. Potem wstając wyrzekła: „Przypuszczam, że z czytaniem będzie koniec, a teraz opowiedz mi jakieś ploteczki".

Ponieważ dr. Lipowski znał charakter starej miss bardzo dobrze, więc nie dziwił się jej wyskokom i śmiejąc się wyrzekł: „Owszem opowiem czcigodnej miss, ale nie teraz. Teraz muszę wyjść, aby się to wyjaśniło" — i podniósł gazetę do góry.

— Więc cóżto? Czy myślisz, że znajdziesz tę pannę w tak wielkiem mieście, jakim jest Londyn?

— Tutaj poszukuje — stanowczym tonem odpowiedział doktór — artysta-malarz, który przy Pont Street mieszka. A przecież ja spotkałem młodą dziewczynę, która wyglądała, jak ta. Jestem zdecydowany zrozpaczonemu narzeczonemu zanieść tę wiadomość. Może tych dwoje odnajdzie się znowu, o ile jego najdroższa w międzyczasie nie odnalazła się.

Miss Saunders z pobłażliwością wzruszyła ramionami.

— No, to już tak jest na świecie — zrobiła uwagę — Dzisiaj pożera ich miłość, a jutro złość. Radzę ci, Anthony, nie zanadto brać sobie tej awantury do serca.

Dr Lipowski, który miał już wyjść, odpowiedział: „Mnie się zdaje, że w tym wypadku tak nie jest. Młoda dziewczyna ma taką twarz i na jej widok odczułem, że tu jest coś nie w porządku. W każdym razie chcę poznać Roberta Coleridge'a, który nie na to tyle pieniędzy wydaje, by nie otrzymać żadnej wiadomości o zaginionej".

Doktor wyszedł na korytarz, a miss Saunders chwyciła go za palto i wyrzekła: „Czy mam na pana czekać, czy na herbatę pójdzie pan do klubu?

— Proszę na mnie nie czekać. Dobranoc! — wyrzekł Lipowski, biorąc kapelusz i laskę.

— Dobranoc — usłyszał — A proszę się dobrze okryć, bo wieczór chłodny.

Tą samą drogą, jak dwie godziny temu, kroczył doktor Lipowski wśród mglisto-wilgotnego wieczoru przez Pont Street. Kiedy znalazł się na placu Cadogan i skręcił w ulicę, rozejrzał się mimowoli na wszystkie strony, jakby spodziewał się ujrzeć zaginioną. Ale ujrzał tylko kilku przechodniów. Po rozejrzeniu się tu i tam odnalazł ponury dom, który nosił faktycznie Nr. 11.

Bez wahania wszedł do bramy domu i zaczął wstępować na schody. Mieszkali tu ludzie zamożni. Także wyższe piętra były wygodne i zamieszkane. Na jednym z korytarzy znalazł Lipowski tabliczkę z napisem: *Harry Raven, przemysłowiec.* Pod nim był bilecik wizytowy z nazwiskiem Roberta Coleridge'a. Za chwilę zadzwonił, a czteroletni chłopczyk o bronzowych lokach otworzył mu drzwi i począł przywoływać matkę. Przyzwoicie ubrana niewiasta zjawiła się.

— Czy tu mieszka artysta-malarz Coleridge? — zapytał.

— Tak! Ale chwilowo niema go w domu. Czy mam mu coś zakomunikować?

— Czy on wnet będzie? — zapytał Lipowski, trochę zawiedzionym głosem.

— O! Tego powiedzieć nie mogę. On ostatnio przeżył bardzo bolesną historję.

— Więc pani wie? — przerwał doktor.

— Tak! Wiem o wszystkiem. Ona często u nas bywała. Kochana miss Isabel. Któżby to przypuszczał?

Dlatego właśnie tu przyszedłem, aby panu Coleridge'owi powiedzieć, że dziś wieczorem ja ją widziałem.

Pani Raven klasnęła w ręce, odwróciła się i poczęła wołać: „Harry! Harry! Chodź tu prędko! Tu jest pan, który miss Isabel widział".

A do Lipowskiego zwróciła się z uśmiechem: „O! Mój panie! Jakże to będzie cieszyć pana Coleridge'a.!?! On już zwątpił. Gdybym była wiedziała, gdzie on przebywa... Może jest u państwa Forth, gdzie jego narzeczona mieszkała... Tam on często przebywa... On ciągle myśli, że ona wróci... Ale stąd jest daleko, więc musimy po niego posłać".

W tym momencie wyszedł dostojny mężczyzna, który się przedstawił, jako Raven, i poprosił Lipowskiego, aby wszedł dalej. Ale doktor miał już inny zamiar. Postanowił jechać na Pentonville Road, aby tam coś wyśledzić. Odmówił więc, prosząc tylko, by państwo Raven poinformowali go o zaginionej.

To też dowiedział się, że Coleridge od pół roku tu mieszka, jest człowiekiem solidnym i że panna Taylor pozowała mu do wielkiego obrazu. Młodzi ludzie poznali się i, jak to zwykle bywa, pokochali się, więc nie można wyjść z podziwu, jak się to stało... Wprawdzie, gdy ostatni raz była u niego, zauważyliśmy, że coś tu jest nie w porządku. Ale o tem, że coś się stanie, nie myśleliśmy.

Dr. Lipowski wręczył im swój bilet wizytowy i poprosił, żeby malarz, gdy wróci, zaraz przyszedł do niego. Codziennie o godzinie szóstej z całą pewnością można go zastać w domu.

Z wielką gotowością przyrzekli państwo Raven zastosować się do jego życzenia.

Lipowski w zamyśleniu zeszedł na ulicę i kazał się zawieźć na Pentonville Road.

— Jedź pan tak szybko, jak możesz — polecił dorożkarzowi.

Dorożkarz skinął głową i popędził konie, które galopem przejeżdżały ulice, pogrążone w jesiennej mgle.

Minęli wiele ulic i znaleźli się na granicy Islingtonu, to jest części miasta zamieszkałej przez ludność robotniczą i biedotę. Wjechali w Pentonville Road. Wpobliżu High Street, gdzie ulice skręcają do City Road, wysiadł dr. Lipowski i udał się do starego dwupiętrowego domu, który mu wskazali państwo Raven jako miejsce zamieszkania państwa Forth. Dorożkarzowi kazał zaczekać.

Po jednej stronie kamienicy na dole znajdował się zakład fryzjerski, który już od dłuższego czasu był nieczynny, bo szyld cały był zasnuty pajęczyną. Na prawo u wejścia znajdowały się trzy szyby, za któremi dr. Lipowski ujrzał elegancką wystawę damskich kapeluszy. Był więc pewny, że trafił pod wskazanym adresem.

Drzwi wejściowe były lekko uchylone. Przez czyściutko utrzymany korytarz wchodziło się wprost do pracowni, gdzie na wstępie rzucał się w oczy metalowy szyld z napisem: *Isabel Taylor, modystka.*

Z pewnem uczuciem niepokoju zbliżył się doktor ku drzwiom i zaczął wstępować po czyściutko wyszorowanych schodach. Na pierwszem piętrze ujrzał drzwi wejściowe do mieszkania Forthów.

Na odgłos dzwonka otworzyła mu drzwi kobieta skromnie ubrana.

— Do kogo pan sobie życzy? — zapytała — Mąż mój już na cały miesiąc ma zamówienia... Pan zapewne przynosi mu nowe.

— Nie, kochana pani, ja tylko chcę się zapytać, czy ta panienka, która u państwa mieszka, powróciła i czy pan Coleridge u was przebywa? Pani jest zapewne panią Forth?

Bolesnem wejrzeniem obrzuciła kobieta naszego doktora i wyjąwszy chusteczkę poczęła nią obcierać łzy płynące obficie z jej oczu.

— O! Panie — przemówiła wśród łkania — Pan jest zapewne przyjacielem pana Coleridge'a. Oszczędzaj go pan, bo on jeszcze nic nie wie.. Wybiegł, by jeszcze szukać...

— Czego on nie wie? Dlaczego mam go oszczędzać? — zapytał Lipowski, jak nieprzytomny patrząc się na panią Forth.

A kobieta patrzyła na niego poprzez załzawione oczy.

— A to i pan jeszcze nic nie wie? — odrzekła — Tak! Tak! Przecież pan tylko pytał, czy Isabel jest w domu. Niech pan wybaczy, ale ja z tego płaczu dostaję już pomieszania zmysłów.

Doktor począł się niepokoić.

— Więc cóż się stało z panną Taylor?

Kobieta troszkę się uspokoiła i uważniej poczęła spoglądać na doktora.

— Czy pan jesteś z policji? — zapytała.

— Nie! Jestem tylko przyjacielem pana Coleridge'a i chciałbym się dowiedzieć, jak się przedstawia historja zaginionej.

Wtedy pani Forth otworzyła drzwi szeroko i spokojniej wyrzekła: „Tak! Więc proszę wejść. Ale niech pan nie patrzy, bo u nas jest bardzo skromnie."

Chętnie Lipowski postąpił dalej. Istotnie wprowadziła go do bardzo skromnie umeblowanego pokoju, w którym przy stole siedziały dwie panienki. Jedna mogła liczyć 17 lat, druga 12. Przed nimi leżały szkielety kapeluszy, kawałki krepy, pióra, wstążki i koronki. Kiedy nieznajomy wszedł, przerażone dziewczęta powstały z miejsc, poobcierały zapłakane oczy i pokornie stanęły w kącie pokoju. Pani Forth podsunęła mu krzesło.

— Biedne dzieci! Nie mogą się przezwyciężyć... Ona dla nich była wszystkiem... Ten pan jest przyjacielem pana Boba — wyjaśniała dziewczętom.

— Ale jeszcze niema nic straconego — próbował doktor je pocieszać — Dziś wieczorem widziałem pannę Isabel żywą i zdrową.

Z niedowierzaniem wszystkie trzy patrzyły na niego. Spodziewał się, że radość wywoła ta wiadomość, tymczasem spotkał go zawód.

Zaprzeczając głową, pani Forth wyrzekła: „To mogło być, ale naszą kochaną i dobrą Isabel więcej już nie zobaczymy" — mówiąc to, stara kobieta z płaczem upadła na krzesło, a obydwie jej córki, również płacząc, oparły swe główki na jej piersi.

— Co was skłania do tego, że tyle w was zwątpienia? — zapytał Lipowski?

Zamiast odpowiedzi, pani Forth podała mu kopertę, leżącą na stole. Ociągając się, wziął ją do ręki. Starsza bardzo urocza blondynka wyrzekła do niego: „Proszę! Czytaj pan tylko!?!".

Lipowski czytał adres Forthów wypisany na kopercie drżącą ręką. Potem wyciągnął ze środka pognieciony kawałek papieru, na którym pośpiesznie i nieczytelnie było wypisane.

„Moi drodzy i kochani! Musimy się na zawsze rozłączyć. Nawet w niebie nie zobaczymy się nigdy. Wy dobrzy mnie tam nie znajdziecie. Bądźcie więc zdrowi! Chciałabym wrócić, ale jakieś ciemne, straszne i śmiertelne moce wzięły mnie w swoje kleszcze. Cierpię strasznie, ale na to zasłużyłam. Jest to ostatni mój znak życia. Żałujcie umarłej, ale pocieszcie się tem, że męki cielesne już się dla niej skończyły. Bądźcie zdrowi na zawsze! Isabel".

Dreszcz przebiegł doktora. Tego nie pisała obłąkana. To nieszczęśliwa zwracała się do swoich przyjaciół po raz ostatni za życia. Czy jest jeszcze czas, aby ją z objęcia śmierci uwolnić? Ale gdzie jej szukać?

Nie mogąc opanować niepokoju, zerwał się Lipowski i wyrzekł: „To wszystko wygląda bardzo tragicznie, ale nie można tracić nadziei, dopóki nie wie się wszystkiego — i natchniony nową myślą dodał — Pokażcie mi pokój, w którym Isabel przebywała. Może natrafimy na jakiś ślad, który nam wskaże, co robić".

Ta myśl podnieciła panią Forth.

— Pan ma rację. Chodźmy tam. Ach! Żeby ta cała nieszczęśliwa historja wyjaśniła się. Również pan Coleridge niema pojęcia, co się stało. On już wszystko przeszukał, policja również była w naszym domu, ale nikt nic nie znalazł.

Zanim pani Forth przyniosła lampę, dr. Lipowski zadawał pytania na temat ich życia, malarza i zaginionej. Dowiedział się, że Isabel Taylor przed 3 laty straciła matkę i wtedy zakład modniarski Isabel ulokowała na dole. Przez jej zdolności tak się powiększyło koło jej klientów, że nawet mogłaby się przenieść do środka miasta, ale ze względu na dobre stosunki z rodziną Forthów i zatrudnianie ich dwuch córek, nie chciała tego zrobić. Malarz Coleridge poznał ją w tym domu. Ojciec Roberta był szkolnym kolegą Fortha. Przybywając do Forthów, Coleridge poznał Isabel. Dopiero przed kwartałem zaręczyli się i przyrzekli sobie, że w najbliższym czasie się pobiorą. Oni się bardzo rozumieli, a wszelkie nieporozumienia między nimi nie miały miejsca. Coleridge jest człowiekiem poczciwym, który wybija się, a panna Isabel jest skończoną dobrocią. Jest może troszkę za poważna, jak na swoje lata, i rozmarzona... Gdy jej czas pozwalał, czytała dużo książek i chodziła do teatru.

Przed pokojem Isabel kończyła swe opowiadania pani Forth. Wtedy otworzyła drzwi i wpuściła doktora do pokoju. Ona weszła za nim z lampą, którą postawiła na stole.

Uważnie rozglądał się Lipowski wokoło. Pokój, aczkolwiek staromodnie urządzony, był jednak ozdobiony fantastycznie różnemi ręcznemi robótkami, co w całości tworzyło z niego rozkoszny buduar kobiecy. W tym pokoju czuło się, że się jest u wybitnej artystki, ale nie u modniarki. Z tego mógł nasz doktor wywnioskować o charakterze jego mieszkanki.

Rzucił jeszcze wzrokiem na sąsiednią sypialnię, która, w przeciwieństwie do tamtego ciemnego pokoju, była zupełnie biała.

— Czy pani już nie pomyślała o tem, — zrobił uwagę Lipowski — aby zbadać szafkę z korespondencją. Może ona coś wyjaśni?

Pani Forth wzruszyła ramionami.

— Ciągle byliśmy pod wrażeniem, że Isabel wróci — odrzekła.

— Czy list, któryście mi pokazali, jest pierwszym znakiem życia po zniknięciu?

— Tak! W czwartek w południe całkiem wesoła poszła do City i od tego czasu ślad po niej zaginął. Do dzisiaj! Przed dwoma dniami daliśmy znać policji.

— Dlaczego nie wcześniej? — zapytał doktor.

— Ponieważ wiedzieliśmy, że się mają pobrać, więc sądziliśmy, że jest u niego.

— Czy kiedyś tak było?

— O, nie! Jabym za nią dała sobie rękę obciąć. Dopiero drugiego dnia, gdy nie wracała, przyszedł pan Coleridge i wtedy dopiero żeśmy się dowiedzieli, że w swoich przypuszczeniach myliliśmy się.

Doktor Lipowski zamyślił się.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Fragment górnośląskiego przemysłu

Dziedziniec huty Królewskiej w Król. Hucie z widokiem na wysokie piece

Wydawca i Red. odpow.: Leopold Nowak w Król. Hucie. Adres Redakcji i Administracji: Królewska Huta G. Śląsk, ul. Hajducka 15, tel. 11-67, konto P. K. O. Katowice Nr. 310.202. — Prenumerata „Polaków w całym świecie" w kraju i zagranicą wynosi kwartalnie: Polska 6 zł., Ameryka 2 dol., Francja 25 fr., Niemcy 4 Rmk„ Szwajcarja 4,50 fr. szw., Holandja 2,50 floren., Belgja 6 fr. belg., Włochy 15 lirów, Szwecja-Norwegja 4 kor, Austrja 6,50 szyl, Rumunja 160 lei, Czechosłowacja 24 Kč. Cena pojedyńczego numeru w Polsce 1 zł. Za treść ogłoszeń Redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Ceny ogłoszeń: za 1 str. 750 zł, 1/2 str. 400 zł., 1/4 str. 200 zł., 1/8 str. 100 zł. Naczelny Redaktor przyjmuje codziennie (oprócz soboty i świąt) od godziny 11—13. — Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca.

Wykonano w Zakładach Graficznych Leopolda Nowaka w Królewskiej Hucie G. Śląsk, ulica Hajducka 15